POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — *Dnia 11-go marca 1944r.* — **Rok VI. Nr. 10**

TYGODNIE, MIESIĄCE, LATA . . .

Atlantyk, w styczniu 1944 *roku*

Obejmując o północy służbę na radiostacji, wpisałem do dziennika radiostacyjnego datę: "1-go stycznia, 1944 roku." Koniec starego i początek nowego roku zawsze wywołuje wiele wspomnień z lat ubiegłych, oraz okoliczności, w jakich się go spędziło. Ale wczorajszy, nasz piąty w tej wojnie Sylwester, nie różnił się od innych, to znaczy, że spędziliśmy go na morzu w sztormowej pogodzie. A że musieliśmy przedtem wypłynąć z portu w dzień wigilijny, klnąc z tego powodu w zupełnie nie świątecznym nastroju na wszystkich, którzy byli temu winni — więc też i refleksje, jakie Nowy Rok wywołał, są przeważnie smutne i gorzkie.

Bo wkrótce już pięć lat dobiegnie, jak statki nasze opuściły Gdynię, wypływając w swe normalne pokojowe podróże, nie wiedząc, iż tak długo nie będzie dane im wrócić do macierzystego portu. Pięć lat już, jak załogi schodząc po ciężkim rejsie na ląd, nie dotknęły stopami polskiej ziemi. Są wprawdzie tacy, u których okres ten jest krótszy; to ci, co przeszli piekło rosyjskie lub zielone granice wszystkich krajów Europy, by wrócić na pokład swego statku, a są tacy pośród nich, którzy jeszcze parę miesięcy temu byli w Polsce.

Te pięć lat i tych kilka miesięcy, każdy z załogi spędził na froncie, na froncie, który ma tylko jedną linię — pierwszą.

Linia ta opasuje glob w różnych kierunkach, i wszędzie gdzie przeciska się przez cieśniny, i tam gdzie prostą kreską przecina olbrzymie połacie oceanów — tam wszędzie są nasze statki i załogi. Były także na "szlaku murmańskim," woziły w ciężkich i najcięższych warunkach ładunki do Rosji. O tym warto przypomnieć. Zwłaszcza teraz . . .

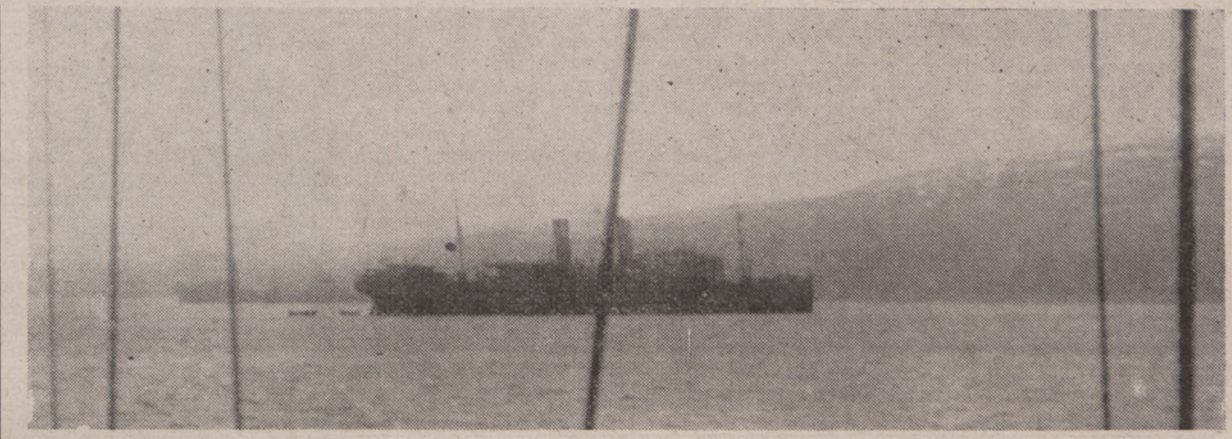
Linia ta szerokim pasem biegnie poprzez trzy tysiące mil Północnego Atlantyku, jakie dzielą Anglię od kontynentu amerykańskiego. Była ona mocno nadszarpywana w ciągu tych lat, i wzdłuż tej linii najcięższe toczyły się walki i obie strony poniosły największe straty. Lecz teraz, gdy szale Bitwy o Atlantyk zdecydowanie przechyliły się na naszą korzyść, należało by przypomnieć społeczeństwu, że w bitwie tej brały i nadal biorą udział nasze statki i załogi. I ponoszą straty . . .

Bo o tym coraz bardziej się zapomina . . .

Modna i fotogeniczna jest Marynarka Wojenna. Prasa co tydzień podaje, ile ten lub ów okręt przebył mil, ile nieprzyjacielowi zatopił, ile razy ochraniał konwój i ile razy wystrzelił przy tym z dział. Gdy któryś z okrętów wojennych zatonie w walce, w krótkim czasie pojawia się w prasie notatka o tym, a w ślad za nią sypią się dokładne opisy wypadku, indywidualnych wyczynów załogi, oraz fotografie odznaczonych — z przodu, z tyłu, z lotu ptaka . . . Cenzor puszcza to wszystko.

Należy im się to i my jesteśmy pierwsi, by się z tego cieszyć. Zasługują na podziw i szacunek nas wszystkich, tym bardziej, że nie mając prawie przed wojną możności wypłynięcia poza półwysep helski — dziś takie sukcesy odnoszą na szerokich wodach. Dowodzi to, jak szybko Polacy umieją dostosować się do każdych warunków.

Gdy natomiast statek handlowy rozerwany torpedą lub bombą lotniczą, idzie na dno — o tym, jak zginęła jego załoga wiedzą tylko ci, którym dane było się uratować.



W prasie ani mru-mru! Cenzor nie pozwala . . . — podobno! "Jeżeli już muszą ginąć — niech to robią po cichu" — dodaje.

Straciliśmy już w tej wojnie dużą, jak na nas, liczbę statków, lecz mimo iż niektóre z nich zatopione zostały już parę lat temu, do tej pory nie wolno wspomnieć o tym ani słowem.

Statki handlowe i ich walki nie są tak fotogeniczne i nadające się do opisów, jak okręty wojenne i ich walki. I nie mają korespondentów wojennych na pokładzie. Ni operatorów filmowych . . . Więc to, co uczynią dla sprawy naszej swą walką i pracą, pozostanie z konieczności ich "tajemnicą" i nawet pokolenia, które przyjdą po nich, by władać polskim morzem, wiedzieć o tym nie będą.

A przecież morze i wszystkie związane z nim sprawy, winny stać na jednym z pierwszych miejsc w naszej propagandzie — zwłaszcza tej na wywóz. Wszak my przy konferencji pokojowej będziemy domagać się słusznie nam się należących statków niemieckich, o odpowiednim do naszych potrzeb tonażu — a fakt ten może być niespodzianką dla przeciętnego Anglika, a tym bardziej Amerykanina, którzy o istnieniu Polskiej Marynarki Handlowej i jej pracy nic nie wiedzą. I nie należy się im dziwić, bo jeszcze wielu Polaków, tu na emigracji o tym nie wie. Wiedzą o "Orle," "Wichrze" czy "Burzy" . . . Co setny słyszał kiedyś o "Piłsudskim," lecz o flocie handlowej, tych małych odrapanych sztormami statkach, pływających w ciężkich warunkach po wszystkich morzach świata, wie zaledwie maleńki procencik tych, którzy się w ten czy inny sposób z nimi zetknęli.

A statki te i załogi pracują i walczą już tyle lat!

A jakie jest ich życie? Oto streszczona historia jednego z nich i historia życia jego załogi od września 1939 roku:

Gdy wybuchła wojna w Polsce, statek ten /znów bez nazwy, bo nie wolno/ znajdował się na morzu w drodze do Egiptu. Dla otrzymania nowych instrukcji zaszedł do Gibraltaru, skąd po paru dniach wypłynął, by oddać ładunek w porcie przeznaczenia. Później, przez całą zimę i wiosnę, aż do chwili upadku Francji, pływał między portami Bliskiego Wschodu a Anglią.

Były to czasy, kiedy statki nie posiadały jeszcze żadnego uzbrojenia, i prawie każdy atak nieprzyjacielskich samolotów kończył się zatopieniem zaatakowanego. Odbywało się to mniej więcej w ten sposób, że samolot latał sobie nad statkiem ile razy i jak długo mu się podobało, i rzucał bomby, lub urządzał sobie ćwiczenia w strzelaniu z karabinów maszynowych do ruchomego celu; z tym, że celem był statek. Do roli zaś załogi należało: znaleźć sobie jak najszybciej schronienie gdzieś za windą ładunkową, lub leżeć plackiem na pokładzie i ewentualnie grozić pięścią.

Na niektórych statkach, załogi porobiły drewniane sylwetki dział i karabinów maszynowych dla odstraszenia niemiaszków, i nawet dla większego prawdopodobieństwa, pełniono przy nich służbę. I nie jeden raz to pomogło!

Wiosną 1940 roku, Niemcy wprowadzili swą pierwszą w tej wojnie "tajną broń" — miny magnetyczne. Wprowadzenie jej zaskoczyło Aliantów i zanim wynaleziono środki zaradcze, wiele dobrych statków poszło na dno u brzegów angielskich, w zatokach i u ujścia rzek.

Nieraz atlantycki konwój przybył na redę portu, lecz po rozwiązaniu go, żaden ze statków nie miał ochoty wchodzić pierwszy, dając innym pierwszeństwo wylecenia w powietrze i "przetarcia" wejścia. Piloci zaś portowi, wchodząc na pokład, natychmiast wdziewali pasy ratunkowe, radząc nam, byśmy zrobili to samo. A później mijając sterczące z wody wraki, mówili, kiedy i jak szybko który z nich poszedł na dno. "Morze przepłynął — u brzegu zatonął" . . .

W czasie upadku Francji, statek, o którym mowa brał udział w ewakuacji polskich oddziałów wojskowych, cywilnych uchodźców i obywateli alianckich. Odbywało się to w czasie, gdy już na północnym brzegu wyjścia z portu znajdowały się pierwsze oddziały niemieckie.

Wtenczas to, z broni jaką nasi żołnierze przynieśli z sobą /bo jej nie rzucili/ stworzono na statku coś w rodzaju obrony przeciwlotniczej, i załoga zamiast grozić pięściami, tłoczyła się przy karabinach, gdy tylko dał się słyszeć szum samolotu.

A później statek rozpoczął rejsy atlantyckie do Ameryki Północnej . . . i na tym kończy się jego historia. Właściwie to nie kończy się, bo statek nadal, to jest przez blisko cztery lata bez przerwy pływa po Atlantyku między Anglią a Stanami Zjednoczonymi.

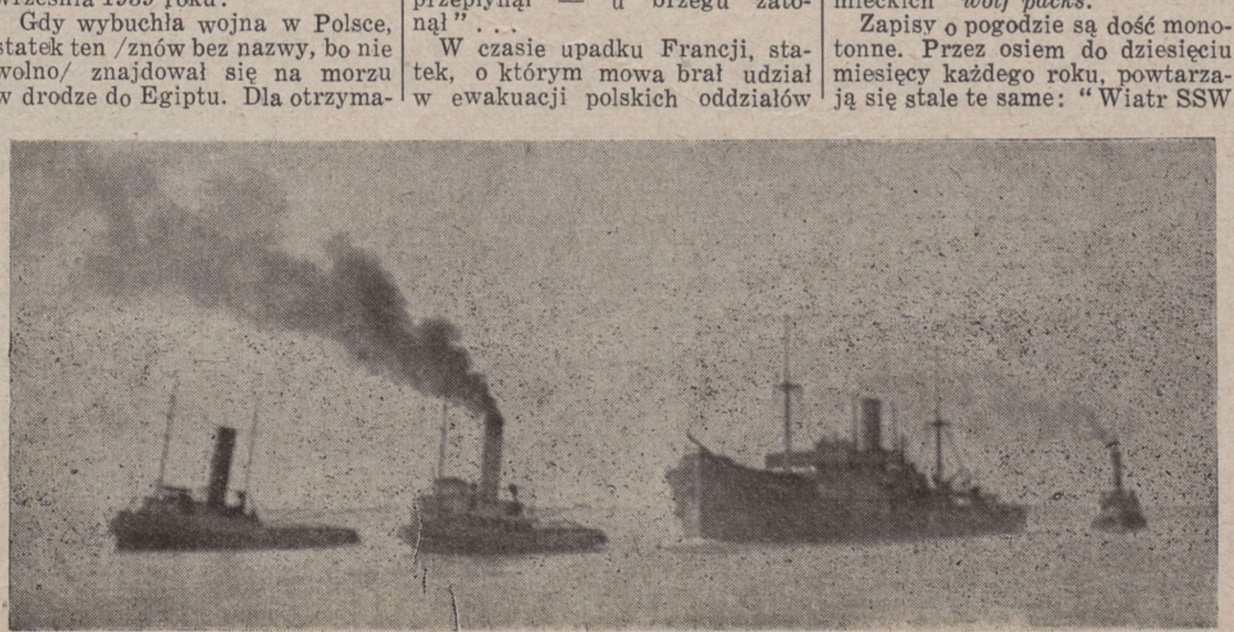
A historia tych rejsów?

Można by ją pisać, albo dzień po dniu, albo w kilkunastu zdaniach zamknąć historię każdego ataku, od czasu, gdy Niemcy atakowali pojedynczymi okrętami podwodnymi i dalekosiężnymi bombowcami "Focke Wulf," aż do czasu, kiedy wprowadzili system atakowania przez t.zw. "*wolf packs*" — stadami wilczymi, gdy kilkadziesiąt okrętów podwodnych, przy współpracy samolotów, przypuszczało skoncentrowany atak na konwój.

Ile razy w ciągu tych lat statek był atakowany, ile razy po rozbiciu konwoju przebijał się sam przez koncentracje okrętów podwodnych, i ile razy w pojedynkę bronił się atakom z powietrza — pozostanie tajemnicą Dziennika Okretowego, oraz archiwum naszego Ministerstwa Żeglugi.

A jest tam wiele ciekawych zapisów, może lakonicznych, ale mówiących tak wiele. Bywa wiele dni z rzędu, gdy obok normalnych zapisów o pogodzie, wietrze i kursach, codziennie wpisane są numery statków, które poszły na dno. A za tym jest cała historia pięcio — sześciodniowych ataków niemieckich "*wolf packs*."

Zapisy o pogodzie są dość monotonne. Przez osiem do dziesięciu miesięcy każdego roku, powtarzają się stale te same: "Wiatr SSW 8 — 9, 9 — 10, fala zalewa pokłady i ładownie," "Fala zerwała szalupę ratunkową z prawej burty . . . ", "Fala zmyła następujący ładunek pokładowy . . . ", "Fala złamała nawiewnik na przednim pokładzie . . . ", "Statek bije dnem o fale . . . ", i t.d., i t.d., dzień za dniem, i rok za rokiem.



Ładunek bywa różnorodny, ale nie było jeszcze rejsu, by statek nie wiózł, ileś tam setek ton dynamitu, bomb, i innych za najmniejszą prowokacją wybuchających materiałów.

Zdania załogi o ładunku, dzielą się. Optymista mówi: — "Nie mam nic przeciwko mieszkaniu na dynamicie, ale uważam, że powinni nas zaopatrzyć raczej w spadochrony, a nie korki ratunkowe. Bo my przecież, gdy nas trafią, nie będziemy tonąć, ale lecieć w powietrze!" — A na to odpowiada pesymista: — "Nic Ci to nie pomoże, bo polecisz tak wysoko, że spadając ze spadochronem, umrzesz z głodu."

I pływają nadal, śpiąc, jedząc i mieszkając na dynamicie. Choć czasem, po szczególnie ciężkim rejsie, któryś poprosi o przeniesienie go na inne rejsy, gdzieś na południe, gdzie mógłby nadwyrężone nerwy wygrzać i uspokoić w tropikalnym słońcu.

— — — — — —

Tak mniej więcej wygląda wojenne życie *jednego* ze statków Polskiej Marynarki Handlowej. Chociaż dla uzupełnienia obrazu, należy dodać, że załoga dużo klnie. Klnie się najwięcej na lądzie — w Londynie — dokąd po rejsie każdy stara się wyrwać choćby na jeden dzień. A klnie się szczególnie dużo po wizycie na Lowndes Square, gdzie za każdym razem nawiązuje się mniej więcej taka rozmowa:

—A Pan z jakiego statku?

—Ja jestem z m/s X . . .

—A dokąd Panowie pływacie?

—Do Ameryki . . .

—O-o-o-o! — O jacy wy jesteście szczęśliwi! Jakież to musi być ciekawe! A przywiózł Pan może jakie pończochy, *lipstick* lub czekoladę?? Bo widzi Pan, ja nam tyle znajomych . . .

—Wie Pan, mamy trudności w otrzymywaniu dolarów . . .

—No ale przecież to taka drobnostka! — Ja Panu zaraz dam listę, czego mnie potrzeba . . .

I po paru minutach, ma się w kieszeni listę długą na metr. A na odchodnym, "urzędująca osoba" woła jeszcze:

—Tylko niech Pan nie zapomni!!!

—Nie, nie zapomnę — odpowiada pływający i — trzaska drzwiami.

— — — — — —

Dlaczego to wszystko napisałem?

Dlatego, że też bywam w Londynie i też otrzymuję długie listy zakupów od każdego napotkanego Polaka, który zwykle dopiero wtenczas dowiaduje się o istnieniu Marynarki Handlowej i czym prędzej pragnie ją wykorzystać. A poza tym licho mnie bierze, bo wszędzie biorą mnie za Anglika, nie wierząc, że poza O.R.P. "Garland," "Wilk," czy "Sokół" Marynarki Wojennej, istnieje także m/s "L . . . ", s/s "S . . . ", s/s "K . . . ", i wiele innych — cała Polska Marynarka Handlowa. Więc wywróciwszy znaczenie polskiego przysłowia "Co jest dobre — to się samo chwali" do góry nogami, napisałem to — o nas samych.

STEFAN F. GAZEŁ

Szkic sytuacyjny

ATAKI LOTNICZE NA RZESZĘ

Najdonioślejszym wydarzeniem ub. tygodnia są niewątpliwie wielkie naloty podjęte przez brytyjskie oraz amerykańskie maszyny na ośrodki produkcji w Rzeszy i w krajach okupowanych. Podano już obecnie do wiadomości, że *RAF używa bomb o potwornej wadze 5½ ton. Są to t.zw. "factory-busters," bomby większe od t.zw. "block-busters," które waliły całe bloki domów.* "Factory-busters" zrzucane są na obiekty fabryczne a ich działanie — jak nas przekonują zdjęcia ze zbombardowanych zakładów Gnome et Rhône — jest niesłychanie skuteczne.

Jak widać z tego, ofensywa lotnicza sojuszników nabiera na progu wiosny r. 1944-go charakteru prawdziwej ofensywy, celowych uderzeń skierowanych ku pewnym ośrodkom, uderzeń bardzo twardych. Jest to niewątpliwe przygotowanie do inwazji, jakkolwiek sama data inwazji może się znowu przesunąć w czasie. Ale dzisiaj widzimy, że uderzenia sojusznicze idą w trzech kierunkach:

1/ atakowania ośrodków produkcji niemieckiej oraz niemieckich szlaków komunikacyjnych, czyli ewentualnego przyfroncia Rzeszy,

2/ atakowania i niszczenia niemieckich baz Luftwaffe na obszarze ziem okupowanych i paraliżowania z góry ewentualnych przeciw-uderzeń niemieckich na wypadek inwazji,

3/ paraliżowania ośrodków takich jak Berlin, co jest polityką dalekiej mety, albowiem chodzi nie tylko o porażenie tego ośrodka administracji, ale także złamanie centrum pruskiego myślenia, grzbietu Prus, jako centrum Rzeszy.

Są to plany ogromne a wykonanie ich na pewno zabierze wiele czasu. Przewidywania jednak, że alianci przede wszystkim będą przeprowadzać zniszczenie z powietrza, zanim przystąpią do ataku, potwierdzają się. Strategia sojusznicza stoi na stanowisku, że należy oszczędzać żołnierza. W tych warunkach niszczenie przed-inwazyjne może być operacją kilku miesięcy. Data inwazji podawana jest na razie przez stacje nieprzyjaciela, głównie przez Radio Paris, gdzie Jean Paquis wspomina n.p. o 15-ym marca, jako dacie rozpoczęcia uderzenia. Strona sojusznicza nie wymienia dat. Trudno się spodziewać, ażeby to czyniła. Przypuszczalnie niemieckie domysły mają na celu wyciągnięcie sojuszników "na słówka."

Uderzenia lotnicze podjęte przez Amerykanów są ciekawe i przez to, że obecnie zapuszczamy się już za dnia nad Berlin i że pierwsze eskadry bombowe Amerykanów atakowały stolicę Rzeszy w osłonie myśliwców o dalekim zasięgu. Jest to pomyślny znak. Berlin nie będzie miał obecnie spokoju i za dnia.

Ostatnie naloty wykazały, że obrona niemiecka nie może nadążyć wszędzie, że bywa ona skonsternowana, że nie zawsze myśliwce niemieckie wychodzą na spotkanie i t.d. Dowodzi to, że jednak potęga uderzeń alianckich jest tak duża, iż nie sposób nastarczyć. Radio niemieckie podaje już obecnie ostrzeżenia, że "zbliżają się formacje wroga," co jest nowością. Dowodzi to bowiem, że Rzesza traktuje uderzenia sojusznicze jako atak masowy, że nawet obszar Rzeszy — o ileż lepszy do obrony, aniżeli mniejszy obszar Anglii w czasie ataku "Luftwaffe" w lecie i jesieni r. 1940 — nie jest już dzisiaj uważany za bezpieczny, że zmienia się on coraz bardziej w obszar walki lotniczej, której będzie coraz trudniej sprostać.

Na razie sojusznicy mogą się poszczycić najlepszymi wynikami na froncie walki lotniczej. Ale nie jest to mało. Gdy przy końcu wojny będzie się czyniło obrachunek, wyjdą dopiero na jaw fakty teraz ukryte, okaże się jakie poważne rany Rzesza otrzymała, jak trudno je było zaleczyć, jak to RAF pomógł do sparaliżowania produkcji Rzeszy, jaki dług wdzięczności ma front wschodni wobec lotnictwa sojuszniczego.

WE WŁOSZECH SPOKOJNIE

Nowiny z frontu włoskiego są jak dotąd skąpe. Ataki niemieckie na przyczółek pod Anzio wyczerpały się na razie. Fakt, że siły niemieckie nie zdołały poczynić postępów pomimo olbrzymich wysiłków, dowodzi, że jednak pozycje sojusznicze są silne i że może przyczółek Anzio okaże się z czasem pożyteczny. *Miał on być* — jak okazało się z debaty w Izbie, a co już przedtem przewidywała prasa — *manewrem zdążającym do przecięcia linii odwrotu armii niemieckiej z nad Garigliano i przez zajęcie Rzymu stawiającym całą tę linię południową pod znakiem zapytania.* Manewr się nie powiódł, ale Anzio ma dalej znaczenie odskoczni, która może być użyta.

Na głównym froncie niewiele się dzieje. Warunki, jakie przedstawiają nam zdjęcia z walk pod Cassino i dalej, dowodzą, że zima w tym roku przesunęła się i że może nie tak prędko zawitają tam lepsze i suchsze pogody.

CO Z FINAMI?

Na froncie wschodnim niewiele zaszło zmian, tempo walk osłabło, wydaje się, że interwencja zimy, mrozu i śniegu nałożyła tłumik na działania wojenne. Postępy sowieckie są powolne. Ruch cofania się armii niemieckiej stracił na tempie. "*Daily Mail*" w rzeczowym artykule ze Sztokholmu przedstawił bezstronnie warunki walk na Wschodzie. Pismo to przestrzegło przed przewidywaniami, że linia niemiecka może nagle pęknąć. "*Daily Mail*" zaznaczył, że jednak dalej mamy do czynienia głównie z cofaniem się Niemców, z "unikami" armii niemieckiej i że to wszystko może potrwać bardzo długo. Istotnie, wydaje się, że do wiosny niewiele się zmieni na tym odcinku. Wojska niemieckie wyraźnie opanowują sytuację.

Politycznie na tym froncie nie wszystko chce iść tak, jak przewidywała niecierpliwa prasa. Finowie podobno mają termin odpowiedzi "tak" czy "nie" do dnia 9 marca. Poruszenia wysłannika fińskiego p. Paasikivi osłonięte są tajemnicą. Prasa fińska atakuje częściowo wysunięte przez Moskwę warunki, niektóre jednak pisma opowiadają się za przyjęciem tych warunków. Samoloty rosyjskie atakują miasta fińskie, co stanowi pewnego rodzaju akompaniament dla ewentualnych rokowań. Strona fińska chciałaby otrzymać pewne wyjaśnienia na temat tego, jakie to "tematy" pozostaną do rozważenia dla delegacji fińskiej w Moskwie.

Przypuszczać wolno, że Finowie chcieliby wycofać swoje wojska dopiero w chwili zawarcia rozejmu. Poza tym internowanie 100 tysięcznej armii generała Dietla nie będzie łatwym zadaniem. Armia ta nie da się internować. Nawet gdyby Finlandii nie groziło "rozwiązanie włoskie," to jeszcze i tak nie byłaby ona nadmiernie chętna do wpuszczenia wojsk rosyjskich, które miałyby rozprawić się z Niemcami. Powstałby wówczas bardzo trudny problem — a rozciągnąłby się on także na Norwegię.

Finlandia jest w bardzo trudnej sytuacji. Wydaje się, że rząd brytyjski popiera warunki sowieckie. Ponieważ W. Brytania jest w stanie wojny z Finlandią, zdawało by się, że powinna ona interesować się nieco żywiej rokowaniami. "*Observer*" z dnia 5-go marca zaznacza, że pewne niepokojące zjawiska dowodziłyby, iż istotnie "strefa wschodniej Europy jest wyłączną domeną Rosji." Oto w sprawie Polski zwyciężyły — chociaż by tylko chwilowo — sowieckie założenia. W sprawie Finlandii również W. Brytania nie okazuje wielkiego zaciekawienia. Czechosłowacja została jakby wypuszczona z rachunku. Gdzie jest polityka brytyjska? — zapytuje "*Observer.*" Czy rację ma rozgłośnia w Ankarze, która twierdzi, że brytyjska polityka cofa się, że od czasu mowy Churchilla z wiosny r. 1943-ego coraz wyraźniej zwycięża teza, że Europa wschodnia musi — przynajmniej na razie — pozostać w orbicie Sowietów?

POGŁOSKI O BUŁGARII

Na temat Bułgarii krążą przeróżne pogłoski. Powiadają one, że:

1/ Bułgaria chce przejść na neutralność i że w tym celu czyni jakieś starania przez Turcję czy nawet W. Brytanię /?/,

2/ Bułgaria stara się o nawiązanie porozumienia z Rosją, z którą nie jest w stanie wojny,

3/ Bułgaria chce nawet — jak donosi "*Sunday Times*" z dnia 5.III. — przejść na formę "*co-belligerency*" à la Badoglio.

Ta trzecia wersja wydaje się prawie wykluczona. Na razie nic nie dowodzi jeszcze, ażeby Bułgaria mogła się wymknąć z niemieckiego potrzasku. Niepewność stanowiska Turcji nie przyczyni się chyba do tego, ażeby Bułgaria tak bardzo się śpieszyła. Wydaje się, że we wszystkich tych doniesieniach jest sporo "robienia szumu," ażeby nas przekonać, że Bałkany już się poddają. Sprawy te pójdą o wiele wolniej, aniżeli chcą te pogłoski.

TURCJA ODSUWA SIĘ

Wyniki narad z Turcją w dobie pobytu premiera W. Brytanii na Bliskim Wschodzie okazują się raczej zawodne. Turcja nie zamierza wejść do wojny. Sceptycyzm turecki co do możliwości wejścia Turcji w wojnę rośnie. Kraj ten skarżył się już nie od dzisiaj na to, że nie otrzymywał dostatecznej pomocy w sprzęcie. Obecnie zatrzymano przywóz tego sprzętu, albowiem jak powiedział wcale brutalnie jeden z dyplomatycznych korespondentów brytyjskich "broń ta była przeznaczona dla zabijania Niemców, a skoro Turcy nie chcą tego robić, to przyda się ona naszym żołnierzom." Oczywiście, Turcy uważają, że w razie uderzenia przez pomost turecki szanse ich są słabe. Stambuł będzie spalony raz dwa, albowiem pali się łatwo. Armia turecka nie jest nowoczesna. *Turcy wolą czekać podobnie, jak woli czekać dzisiaj każdy mały kraj.* I nie można się temu dziwić. Niepewność losu małych państw sprawia, że stały się one egoistyczne. Nikt dzisiaj nie chce zbytnio ryzykować, skoro nie wie, co go czeka.

Jest to cios dla sprawy sojuszniczej, ale nie można się dziwić, że jest tak, a nie inaczej. Losy małych państw przedstawiają się opłakanie. Wydaje się, że rząd jugosłowiański padnie i że król dojdzie do ugody z Tito. Finlandia jest osamotniona. Węgry nie widzą wyjścia. Podobnie Rumunia. Brak wyraźnej polityki z tej strony sprawia, że państwa Europy wahają się, że kluczą, że chowają głowy w piasek. Inne zaś uważają, że jeżeli już trzeba się układać — to może lepiej z Sowietami. Siła przyciąga: widzieliśmy ten obraz w r. 1938 i 1939 i potem. Rzesza przyciągała niepewnych. Dzisiaj przyciąga Rosja. Polityka rozsądna powiada, że trzeba stworzyć własny ośrodek siły, idei, myśli — ażeby wygrać walkę o Europę.

Londyn, dnia 5.III.1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

29 l u t e g o: Prasa londyńska podała wiadomość o walkach żołnierzy polskich we Włoszech, w rejonie Castel del Sangro.

—Odbył się pierwszy lot dzienny bombowy polskiego dywizjonu na samolotach Mosquito. Wszystkie polskie załogi powróciły.

—W Moskwie ogłoszono warunki zawieszenia broni dla Finlandii.

1 m a r c a: Ogłoszono, że Niemcy rozpoczęli trzecią serię ataków na przyczółek mostowy Sprzymierzonych pod Anzio, w szczególności na pozycje między Carroceto a Cisterna.

—W nocy z 29.II/1.III. lotnictwo niemieckie dokonało nalotu na Londyn.

2 m a r c a: W nocy z 1/2 lotnictwo niemieckie bombardowało Londyn.

3 m a r c a: W nocy z 2/3 lotnictwo brytyjskie bombardowało ośrodki przemysłu lotniczego w Albert, w północnej Francji oraz w Meulan-les-Mureaux, w okolicach Paryża. Ujawniono po raz pierwszy, że w czasie tych nalotów zrzucono bomby ważące 12.000 funtów /ponad 5 ton/.

—Amerykańskie lotnictwo myśliwskie dokonało za dnia ofensywnego wymiatania nad Berlinem. Było to pierwsze działanie lotnictwa amerykańskiego ponad stolicą Niemiec.

4 m a r c a: Ujawniono w Londynie szczegóły dotyczące działalności Armii Krajowej w ostatnim okresie 1943 roku. W tym czasie m.in. stoczono 81 walk z oddziałami niemieckimi, wykolejono 83 niemieckie transporty kolejowe z materiałami wojennymi t.p.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia wschodnie części Niemiec. Jedna z formacyj "Latających Fortec" bombardowała Berlin. Było to pierwsze bombardowanie Berlina przez lotnictwo amerykańskie.

—Polskie samoloty myśliwskie atakowały cele ziemne w głębi Francji. W czasie tego działania, jeden z myśliwców polskich zestrzelił samolot niemiecki Focke Wulf 190. Wszyscy piloci polscy powrócili.

5 m a r c a: W Moskwie ogłoszono o zajęciu przez Czerwoną Armię następujących miejscowości: Ostropol, Zasław, Jampol oraz Szumsk, na terenie Polski. Walki toczą się o m. Wołoczyska, na granicy polsko-rosyjskiej.

—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadziły wymiatanie nad Francją. Wszyscy polscy piloci powrócili.

—W nocy z 4/5 polskie samoloty bombowe wykonały loty patrolowe nad zatoką Biskajską.

Wojna na morzu

DAS O.K.W. GIBT BEKANNT ...

(Czyli wesoła historia o tym jak "rozmnażały się" polskie okręty podwodne.)

4 września 1939 O.K.W. /*Oberkommando der Wehrmacht*/ wydało następujący komunikat:

"W Zatoce Gdańskiej zatopiono polski okręt podwodny."

W ślad D.N.B. /*Deutsches Nachrichten Büro*/ ogłosiło:

"Dziś rano drugi polski okręt podwodny zniszczony został na Bałtyku."

W dwa dni później, 6 września O.K.W. podało:

"Okręty niemieckie zniszczyły na Bałtyku trzeci polski okręt podwodny."

I jeszcze dwa dni później:

"Czwarty polski okręt podwodny został zniszczony."

Po czym 11 września D.N.B. zakończyło serię:

"Piąty polski okręt podwodny uległ zatopieniu."

No, ale 18 września prasa niemiecka podała korespondencję ze Sztokholmu, cytującą wiadomość szwedzką o internowaniu w Vaxholm uszkodzonego polskiego okrętu podwodnego "Sęp." Tedy polskich okrętów podwodnych było już s z e ś ć !

* * *

25 września pancerniki "Schlesien" i "Schleswig-Holstein" wypłynęły raz jeszcze z Gdańska, by bombardować "Polską Twierdzę" na Helu. "Twierdza" miała 4 działa 150 m/m, przeciwko ośmiu 280 m/m i 20-tu 150 m/m pancerników, nie licząc oczywiście towarzyszących im kontrtorpedowców, minowców i samolotów.

W książce "*Unsere Kriegsmarine im polnischen Feldzug,*" napisanej przez kmdra Busch, na str. 54 znajduje się następujący dialog:

"Podoficer artyleryjski pancernika "Schlesien": Panie poruczniku, dlaczego mamy jeszcze obronę przeciwpodwodną? Przecież wszystkie polskie okręty podwodne są zniszczone?

Oficer: "*Sicher ist sicher.*" Poza tym jeden z polskich okrętów podwodnych uciekł Estończykom."

Tedy polskich okrętów było już s i e d e m !

* * *

W dalszym ciągu prasa szwedzka podała, że ogółem trzy polskie okręty podwodne internowane zostały w Szwecji. Tedy musiało ich być razem . . . d z i e w i ę ć !

W połowie października gruchnęła po świecie wieść, że dwa polskie okręty podwodne są w Anglii! Tedy mielibyśmy podwodnych okrętów . . . j e d e n a ś c i e !

Hitler i jego pomocnicy, załgawszy się, próbowali jakoś wybrnąć. O.K.W. wydało następujący komunikat:

"Na morzu część niemieckiej floty, pod dowództwem generał-admirała Albrechta, zaryglowała Zatokę Gdańską i odcięła porty polskie, przerywając całkowicie żeglugę. Za wyjątkiem jednego okrętu podwodnego, wszystkie polskie siły morskie zostały zniszczone lub dały się internować w portach neutralnych."

To już brzmi lepiej. Nie wiadomo kto został zniszczony, a kto internowany? Jeden ocalały okręt z całej floty darować Polakom na wszelki wypadek można . . .

Potem wydano książkę pana Steen: "*Die Blauen Jungen Schlagen Polen.*" W niej przyznano, że dwa polskie okręty podwodne zostały internowane w Szwecji, jeden gdzieś piratuje, zamordowawszy dwóch Estończyków /?/, no a zniszczono z całą pewnością . . . też dwa! Odwrót, jak widzimy na całej linii.

Ale to też nie "sztymowało"! 2 +2 + 1 = 5. No, ale skąd wziął się trzeci internowany w Szwecji, a drugi co przedostał się do Anglii? Choć to już nie 11 i nie 10, aleć zawsze 7 . . .

* * *

Polskich okrętów podwodnych w r. 1939 było naprawdę p i ę ć ! Ani więcej, ani mniej.

"Sęp," "Ryś" i "Żbik" — uszkodzone w walkach z nieprzyjacielem /trwających 15 — 25 dni/, internowane zostały w Szwecji. "Wilk" 20-go września przybył do Anglii. "Orzeł" przybył tamże 14-go października, gdy wszyscy uważali go za stracony. Nie miał map, instrumentów, zamków do dział i większości torped. Nie zamordował nikogo, bo obydwóch uprowadzonych Estończyków wysadzono na Gotlandzie z odpowiednią porcją dolarów i whisky. I to kłamstwo niemieckie zawiodło — zmartwychwstały nietylko okręty, ale nawet pojedyńczy ludzie.

Pierwszy polski okręt podwodny — "Orzeł" — zginął dopiero 8 czerwca 1940 roku w operacji na M. Północnym.

TYM RAZEM NAPRAWDĘ SUKCES

Natarcie amerykańskiej floty zwiadowczej, popartej przez zespoły okrętów ciężkich i samolotów, na wyspę Trunk /Karoliny/ — stało się poniekąd rewanżem za Pearl Harbour. Co najciekawsze, że tym razem nawet Japończycy przyznali się do porażki.

A gdyby się nawet nie przyznali, to już sam fakt usunięcia obu szefów sztabu /naczelnych dowódców/ marynarki i wojska — świadczyłby, że coś się psuje na rozległych teatrach operacyjnych Mikada. "I rzeczywiście" . . . — jak powiada anegdotka żołnierska.

Wyjątkowo bliskie zgody są też komunikaty obu stron. Amerykanie twierdzą, że zatopili dwa krążowniki lekkie, jeden transportowiec amunicji, jeden transportowiec wodnosamolotów, dwa ropowce, dwie kanonierki i ośm transportowców wojskowych. Zestrzelili zaś 201 samolotów i zbombardowali sumiennie z morza i powietrza japońską bazę na Trunk. Poza tym uszkodzili poważnie lub zatopili trzy kontrtorpedowce, dwa ropowce i cztery statki handlowe.

Straty własne sił U.S.A. pod dowództwem admirała Spruance, ograniczyły się do 17 samolotów oraz jednego uszkodzonego okrętu.

Japończycy przyznali się do straty dwóch krążowników, trzech kontrtorpedowców, trzynastu transportowców i 120 samolotów — co jest rewelacją nielada. Przyznają się też do strat na lądzie. Natomiast twierdzą, że zatopili Amerykanom dwa krążowniki, oraz uszkodzili lotniskowiec i mniejszy okręt wojenny, a także zestrzelili 54 samoloty.

Jakkolwiek w cyfrach tych jest duża rozbieżność, to jednak są one najbardziej zgodne ze wszystkich porównań jakie dotychczas można było robić między komunikatami obu stron walczących na Pacyfiku.

WOJNA PODWODNA

Brytyjskie okręty podwodne zatopiły w ostatnim miesiącu 32 statki "osi," a amerykańskie — 17. Trzy niemieckie okręty podwodne zostały zniszczone pod Gibraltarem, a kilka innych na szerokich wodach świata.

Tym nie mniej Doenitz zapowiada nową ofensywę podwodną. Podobno ma on jeszcze około 300 okrętów podwodnych, przezbrojonych i zaopatrzonych w przyrządy neutralizujące radiowykrywanie przeciwnika. Ofensywa ma się rozpocząć z portów francuskich, tak, aby przeciwdziałać inwazji.

Fakt zatopienia trzech niemieckich okrętów podwodnych pod Gibraltarem świadczy, że Niemcy chcieli przerzucić na Morze Śródziemne część swych sił z Atlantyku. Jest to znamienne po dezorganizacji floty włoskiej. Widocznie śródziemnomorskie flotylle podwodne już nie wystarczają.

Doenitz głosi, że w jednym ataku na konwój zatopiono 11 kontrtorpedowców. W rzeczywistości zatopiono 1!

ANZIO

Jak spodziewaliśmy się — Marynarka znów powiedziała na przyczółku Anzio-Nettuno swe ostatnie słowo. Nawet wówczas, gdy lotnictwo sparaliżowane było stanem pogody, działa okrętów wojennych grzmiały bez przerwy, wspierając broniące się na lądzie oddziały wojska. Co ważniejsze — pod ogniem nieprzyjaciela dostarczono im posiłków, sprzętu i zaopatrzenia. Nie darmo dowódca sił lądowych brytyjskich oświadczył: "Bitwa o Rzym będzie wygrana, bo . . . panujemy na morzu!"

A Niemcy w komunikacie swoim przyznali: "Zadanie stało się znacznie trudniejsze z chwilą, gdy nasi grenadierzy weszli w strefę działania artylerii okrętowej przeciwnika."

FLOTA WŁOSKA . . . PODZIELONA

Jak doniosła prasa, prezydent Roosevelt przewiduje podział floty włoskiej między Stany Zjednoczone, W. Brytanię i Zw. Sowiecki. Podobno inicjatywa tego podziału wyszła od Stalina, który zażądał jednej trzeciej okrętów włoskich, opierając się na twierdzeniu, że należy uruchomić do walki z Niemcami wszystkie środki będące w dyspozycji sprzymierzonych.

Rosja ludzi ma dość — brak jej prawdopodobnie okrętów, z których część została stracona, a część zużyta długą i mozolną służbą. Tym nie mniej komunikat nie podaje jasno, czy chodzi o przydział natychmiastowy, czy też o powojenny. Możliwe, że jedno i drugie.

Ale część floty włoskiej walczy przy boku Anglosasów. Reakcja z jej strony na podobny podział nie będzie z pewnością życzliwa. Niewiadomo też, jakie stanowisko zajmie rząd Badoglio. Sprawa byłaby przesądzona bezapelacyjnie tylko w tym wypadku, gdyby flota włoska kategorycznie odmówiła współdziałania z aliantami.

Ale jest też i kwestia techniczna. Okręty włoskie budowane dla basenu śródziemnomorskiego — nie bardzo nadają się na podpolarne wody Arktyku. Bo tylko te wody wchodziłyby dziś w rachubę, jako jedyne otwarte dla połączeń z zachodem. Okręty włoskie w Murmańsku czy Archangielsku . . . byłyby dość "ekscentryczne," biorąc pod uwagę klimat i warunki nawigacyjne, a także typ uzbrojenia i wyposażenia.

Morza Bałtyckie i Czarne — o lepszych warunkach klimatycznych — są na razie zamknięte. Pozostaje Daleki Wschód. No, ale to kwestia delikatna: Rosja nie jest w wojnie z Japonią.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że w latach 1918 — 21 Polska mogła otrzymać okręty z flot byłych państw zaborczych. Dobrowolnie się ich wyrzekła, lękając się . . . kosztów utrzymania. "*Mal lui en prit*" — jak powiada francuskie przysłowie. Na dobre nam to nie wyszło. O, nie.

JULIAN GINSBERT

Polska — żywymi oczami

Dziecko i matka*



W czasie łapanki ulicznej

W smutnych dniach wojennych najsmutniejszy chyba jest los dziecka. Dzieci polskie , tysiące razy osierocone, wygnane z domu, wywożone wysiedleńczymi pociągami z Poznańskiego, Zamojszczyzny, Lubelszczyzny, dzieci z ghett gnane do pociągów straceń — już w czwartym, piątym roku życia patrzą na świat przedwcześnie dojrzałymi oczami ludzi dorosłych, wszystko już rozumiejących.

Praktyki wysiedleńcze pociągnęły za sobą tysiące ofiar wśród dzieci. W latach 1939 — 40 — 41 w czasie niezwykle ciężkich zim przeprowadzano wysiedlenia z Poznańskiego, Pomorskiego, Żywiecczyzny. Rok 1943 zapisał się tragedią wysiedlonych z powiatu Zamojskiego, Hrubieszowskiego i wielu innych. Nieopalone, bydlęce wagony, którymi przewożono nieszczęśliwych przy 30 stopniach mrozu stawały się jakże często grobem dzieci, gasnących w ramionach matek na zapalenie płuc, niemowląt, po prostu kostniejących na śmierć. Obozy zbiorowe, przez które przeszły setki tysięcy polskich rodzin były najstraszliwszymi kaźniami dla dzieci. Wysiedleni pozostawali w tych obozach przez parę tygodni, bez ciepłej odzieży, bez pościeli, w brudzie, robactwie, wśród szalejących epidemii. Kaszel i bezsilny płacz dzieci był jedynym głosem obozów, w których milczący ludzie czekali na najgorsze.

Ostatnie wysiedlenia z Zamojszczyzny uderzają jeszcze dotkliwiej w dzieci. Wobec gwałtownego zapotrzebowania na siły robocze, Niemcy dokonywali już w obozach zbiorowych rekrutacji robotników. Zaliczano wszystkich zdolnych do pracy odrywając nawet matki od niemowląt. Dzieci zupełnie osierocone, lub w najlepszym razie pozostające na opiece zniedołężniałych starców są skazane na los najsmutniejszy. Głód, bezdomność, życie ulicy, staje się udziałem tych wojennych sierot. Były pociągi z dziećmi wywiezione w nieznanym kierunku, były gromadki dzieci zdrowych, używanych w szpitalach niemieckich dla transfuzji krwi.

Trudno określić dziś ile bezbronnych maleństw padło ofiarą ostatnich akcyj pacyfikacyjnych w Lubelszczyźnie, ile spłonęło w domostwach, w których zamykano mieszkańców przed podpaleniem opornej wsi. Żydowskie dzieci zginęły wszystkie w komorach gazowych. Widziałam w zeszłym roku w Rzeszowie na stacji trzy pociągi straceń z ghetta warszawskiego. Przez zakratowane kolczastym drutem okienka bydlęcych wagonów wyglądali ludzie obłąkani strachem, obojętni już najczęściej z rozpaczy. Najtragiczniejsze jednak były twarzyczki dzieci z zaciekawionymi i wesołymi nieraz oczami, drobiazgu, zdążającego z uśmiechem nieświadomości na straszną śmierć.

Potęga hitlerowska wypowiedziała walkę dziecku polskiemu i prowadzi ją konsekwentnie przez cały czas wojny. Bronią najbardziej skuteczną i groźniejszą w skutkach od mordów i wywózek jest stałe głodzenie dzieci. Przydziały wyznaczone dzieciom zaspakajają około 15% zapotrzebowania żywnościowego. Jakościowo przydziały te wykazują brak ponad 90% tłuszczu, 80% białka, 50 — 60% węglowodanów. Zupełny brak witamin pogłębia tragedię najmłodszych ofiar okupacji niemieckiej.

System kartkowy obejmuje tylko dzieci miast. Dzieci wiejskie głodują na przednówku, który obecnie zaczyna się nieraz już w marcu. Lekarze wielokrotnie stwierdzili wypadki śmierci głodowej, zwłaszcza na Podhalu. Puchlina głodowa wśród dzieci szerzyła się nagminnie w Małopolsce Wschodniej.

Społeczeństwo próbowało uchronić część dzieci przed puchliną głodową, przewożąc je do województw mniej dotkniętych. Dzieci siedziały skulone na wypożyczonych ciężarówkach, spłakane po rozstaniu się z rodzicami, na sczerniałych twarzyczkach malowała się najzupełniejsza obojętność. Ożywiały się jedynie na widok jedzenia. Łykały z błyskawiczną szybkością podawaną im zupę i czarny gliniasty chleb. Po jedzeniu patrzyły łapczywie na dalsze talerze, zdawało się, że nic nie zaspokoi ich głodu, a zwłaszcza lęku, że jutro już nie będzie co jeść. Po kilku transportach Niemcy zabronili przewożeń, twierdząc, że " wszelki ruch ludności pogarsza sytuację żywnościową w Gubernatorstwie."

Badania lekarskie wśród dzieci szkolnych dały zastraszające rezultaty: w jednym ośrodku w grupie 964 dzieci szkolnych stale gorączkujących było 743, w grupie dzieci w wieku przedszkolnym na 475 badanych było 401 dzieci gorączkujących. Oczywiście w tych warunkach gruźlica zbiera obfite plony, a śmiertelność wśród dzieci wzrasta z dnia na dzień.

W pierwszych latach wojny społeczeństwo próbowało ratować dzieci, organizując przez opiekę społeczną sierocińce, kuchnie, kolonie i półkolonie, domy wypoczynkowe i dożywianie w szkołach. Ogromną pomocą w tej akcji były obozy amerykańskiej " *Commission for Polish Relief.*" W r. 1942 ta akcja doszła do pięknych wyników i objęła 240.000 dzieci.

Niestety i ta łyżka strawy podana głodującemu dziecku wywołała " święte oburzenie " okupanta. " Niemieckie dzieci giną pod bombami — nie czas na pomaganie polskim szczeniętom " odpowiadano bez żenady w niemieckim " *Abteilung für Soziale Fürsorge.*" Latem 1942 zlikwidowano wszystkie ośrodki pomocy dzieciom, nie pozwolono nawet na podawanie w szkołach kubka lichej ziemniaczanej zupiny. Na wiosnę 1943 r. bezwarunkowej pomocy opieki społecznej domagało się 525 tysięcy dzieci wygłodzonych i półnagich — dziś liczba ta na pewno znacznie jeszcze wzrosła. Nie pozwolono nawet na organizowanie półkolonii bez dożywiania, ponieważ dzieci w czasie zabawy, " maszerują i śpiewają patriotyczne piosenki." Dzieci polskie nie mają w swym kraju nawet prawa do zaczerpnięcia świeżego powietrza. Zieleńce, ogrody i nawet nędzne skwery są " *nur für deutsche Kinder.*"

Dzieci polskie nie mają obrony Państwa, nie mają szkół ani własnego Ministerstwa Opieki Społecznej, ale te, które jeszcze nie są sierotami, mają najczulszą i najpewniejszą opiekę matczyną. A matki w Polsce cudów dokazują, aby jednak na przekór wszystkiemu wyżywić i odziać dzieci. Nadludzkim trudem, mimo zupełnej niepewności losu, gromadzą żywność, wywalczając zarobki i opał w świecie opornym i wrogim.

Kobieta polska jest dziś żołnierzem w ogniu walki i wykazała w niezmiernie trudnych warunkach życia okupacyjnego ogromną dozę odwagi, wytrwałości, i zapobiegliwości. Dzieje tej wojny na wewnętrznym froncie, są nierozerwalnie związane z czynem kobiety polskiej. W olbrzymiej większości wypadków kobieta pozostała osamotniona. Mężczyźni wyszli na emigrację, zostali internowani za drutami jenieckich obozów, zginęli w obozach koncentracyjnych i w kaźniach więzień.

Kobiety czekają wiernie na nieobecnych mężów, pewne, że wrócą do nich ci sami. Kobiety nie uginają się pod ciosem żałobnych wiadomości. Nie cofają się przed żadnym ciężarem i żadnym obowiązkiem. Osobno postaramy się jeszcze naszkicować sylwetkę kobiety, podziemnej bojowniczki o wolność: łączniczki, kurierki, dziennikarki, nauczycielki tajnej.

Więzione, wywożone, gnębione tak jak mężczyźni, są dziś trzonem rodziny i opiekunami starców i dzieci. Ciągną trudem ponad siły dwa, a nawet trzy zarobkowe zajęcia, pozbawione pomocy służby domowej, piorą, gotują, szorują schody, noszą węgiel /jeżeli jest . . ./ Uczą pozbawione szkoły dzieci. Żyją jedną myślą przetrwania i doczekania lepszych dni.

Panie, które przed wojną spędzały cały czas w kawiarniach, dziś zapomniały o istnieniu fryzjera i modystki. W ciemne, mroźne ranki biegną do pracy, stukając drewniakami. Wracają do domu obładowane torbami z cudem zdobytymi ziemniakami i kaszą. Kostnieją z zimna za ladami sklepów, stukają odmrożonymi palcami w klawisze maszyn do pisania, przeprowadzają niekończące się kombinacje handlowe i zamienne, i jednak — każdego dnia mają co dać dzieciom jeść.

Trochę marmolady do wiecznej jaglanej kaszy, trochę słodkiego soku do ohydnej jęczmiennej siekanki wywoła radosny uśmiech na ustach dziecka i da matce szczęście dobrze udanego dnia. Długimi kilometrami warto wędrować późnym wieczorem do znajomych chłopów, przynieść pod ciągłym strachem rewizji, pobicia, więzienia — litr mleka, parę deka masła, i walczyć, walczyć dalej każdego dnia z anemią, z podgorączkowymi stanami niszczącymi zdrowie synka, z upadkiem siły staruszki matki. W najbiedniejszej rodzinie, póki nie braknie kobiety — oczy dziecka mogą z ufnością patrzeć na otwierające się wieczorem drzwi. Jakże te dzieci truchleją o bezpieczeństwo matek, jak starają się okazać swe przywiązanie. Ich zbyt rozsądne zachowanie napawa nieraz trwogą i najgłębszym żalem.

Miałam w swym najbliższym otoczeniu dwóch chłopaczków, którzy stracili ojca w Manthausen. Starszy 10-letni stał się najczulszym opiekunem 5-letniego brata, i prawdziwym przyjacielem swej ciężko pracującej matki. W dniach rozpaczy, po nadejściu tragicznej wiadomości, zajął się małym tak troskliwie, że matka nie potrzebowała się o nic troszczyć. Uczył go pisać i czytać, sam poza nauką gimnazjalną na tajnych kompletach zarabiał wycinaniem zabawek z dykty. Czasem po pracy wracałam wraz z ich matką do domu. Chłopcy stali codzień pod drzwiami. Trzymali się za ręce, oczekując na dzwonek, obawiając się, że matka może nie wrócić.

Inny 4-letni chłopczyk, którego ojciec zginął w Oświęcimiu, żył w bezustannej bojaźni, że " Niemcy złapią mamusię." Co wieczór przeżywał stany lękowe przed położeniem się do dużego francuskiego łóżka, w którym sypiał wraz z matką. Gdy raz zaniepokojona rozszerzonymi ze strachu oczami dziecka, próbowałam mu wytłumaczyć, że nie powinien bać się nocy, odpowiedział: — " Zawsze śni mi się, że zabrali mamusię, muszę dopiero " nogą popatrzeć," że to nieprawda, ale i tak muszę płakać." Maleński nie zdawał sobie zresztą sprawy z utraty ojca. Tłumaczył matce: — " Nie płacz, tatuś teraz umarł, ale po wojnie wróci do nas." Śmierć ojca w dalekim obozie nie była dla niego rzeczywistością, jednak lęk o jedyną opiekunkę był ciężarem ponad siły dziecka — jednego z tysięcy dzieci polskich w tej sytuacji.

Pierwszą troską naszą po wojnie musi być przywrócenie dziecku jego własnego, szczęśliwego, i beztroskiego świata. Nie wskrzesimy tysięcy dzieci poległych w nierównej walce z okrutnym i podłym wrogiem, ale możemy ogrzać, nakarmić i odziać biedactwa wychudzone, wynędzniałe i wstrząsane dreszczem gorączki. Wielkich trzeba będzie wysiłków, żeby przywrócić nie tylko rumieńce na sczerniałe z głodu twarze, lecz i beztroski uśmiech do przerażonych i spłakanych oczu.

MARIA BRZESKA



T.zw. " dzikie dzieci," które utraciły rodziców wskutek akcji wysiedleńczej

W obrabowanym mieszkaniu



* Por. poprzednie artykuły cyklu: " Powszedni dzień terroru," druk. w nr. 6 i " Życie ulicy," druk. w nr. 7 " Wobec wydarzeń wojennych," druk. w nr. 8 " Polski Walczącej " z b.r.

Rozmówki z aliantami

Niech Cię, Czytelniku nie zmyli tytuł tego artykułu: nie będzie to ani komentarz, ani horoskop polityczny, nie będzie mowy o naradach podczas doniosłych, " historycznych " spotkań przewódców narodów czy wybitnych mężów stanu. Rozmowy, które tu zamierzam przytoczyć możliwie najwierniej, odbywały się w klubie żołnierskim, w świetlicy lub zgoła na ulicy i były wynikiem moich przypadkowych spotkań z żołnierzami kilku armii Zjednoczonych Narodów. Dodać jeszcze trzeba, że inicjatywa pogawędki wychodziła prawie zawsze od moich rozmówców, czy raczej może interpelantów oraz, że nie były to żadne osobistości ani " ważne," ani " wpływowe," ani nawet " miarodajne," choć niektóre z nich w obecnym stanie rzeczy uznać by należało raczej za nieźle zorientowane. I to jest właśnie powód, dla którego właśnie teraz, gdy z ust wielu możnych tego świata padają słowa brzmiące nutą dziwną a złowrogą, gdy prasa naszych sprzymierzeńców przepełniona jest apelami do naszego " rozsądku " i poczucia " realizmu " — pozwoliłem sobie spisać moje przygodne, błahe i nieważne rozmówki z aliantami.

1. CZECH

Siedzieliśmy obok siebie w stołowni żołnierskiego klubu w Edynburgu. Mój sąsiad miał mundur "*petty-officera*" brytyjskiej marynarki handlowej, miałem więc wszelkie zewnętrzne powody, aby tubylczym zwyczajem wyrazić wobec niego zachwyt dla pięknej i słonecznej pogody. Ledwie jednak przebrzmiała moja uwaga, gdy marynarz ujrzawszy " Poland " na moim ramieniu, poczerwieniał jak burak i . . . obsypał mnie takim gradem inwektyw, że aż zaniemówiłem ze zdumienia.

Wypominał więc " Brytyjczyk " narodowi polskiemu w mojej nieważnej osobie przewrotność, imperializm, grabież cudzego terytorium, nacjonalistyczną "*madness*" i wiele innych politycznych grzechów. Dopiero gdy pod koniec " przemówienia " padło niebardzo anglo-saskie: "*hrom a peklo,*" zorientowałem się z kim mam do czynienia i na początek zaproponowałem, abyśmy — ze względu na liczne audytorium — mówili /właściwie to on mówił, a ja dotąd bezradnie słuchałem/ spokojniej, a następnie, byśmy nasz spór sąsiedzki załatwiali, używając każdy swojego języka — on czeskiego a ja polskiego — gdyż, jestem pewny, zrozumiemy się doskonale.

Uspokoiło to trochę mojego oponenta, który już w bardziej opanowanym tonie wypomniał mi gorzko zabór Zaolzia w r. 1938 oraz zarzucił nieszczerość i . . . zdradę ideałów Słowiańszczyzny. Gdy się wyżalił zadałem mu tylko jedno pytanie: — " A coście to wy zrobili pobratymcy słowiańscy w dniu 23.I.1919? " Zdumiał się mocno i stracił rezon, gdy ja z kolei nielitościwie przypomniałem zdradziecki, krwawy napad na Śląsk Cieszyński w czasie, gdy Polska prowadziła wojnę i nieżyczliwe stanowisko w r. 1920 i dalsze, niebardzo chlubne dzieje naszego sąsiedzkiego współżycia.

Replikował, ale dziwnie słabo, po tym niespodziewanie przerzucił się na inny temat dobierając się do nie-demokratyczności naszego wojska: — " Wystroiliście swoich oficerów w różnokolorowe czapki, przed byle kapraliną musi żołnierz stukać obcasami — sam na to patrzyłem — i meldować "*Panie*" . . . Czemu to nie użyć formy: "*Bracie*" jak w armii czeskiej, albo: "*Towarzyszu*" jak w rosyjskiej. Nie, koniecznie musi być "*pan.*" " Pan porucznik," " pan sierżant," nawet " pan " kapral. *Hrom a peklo.*"

Widoczne było jednak, że złość go opuszczała, bo nie przeczył gdy dowodziłem, że życie jest silne w naszej armii i że co innego dyscyplina, która jest podstawą istnienia każdej armii, a co innego bezduszny "*drill,*" że użycie zwrotu: " pan " w służbie do starszego stopniem nie wyklucza bynajmniej wzorowego koleżeństwa a nawet przyjaźni.

Uśmiechnął się, gdy skończyłem i patrząc na siedzących obok nas Anglików i Szkotów zauważył: — " My się tu po naszemu sprzeczamy, a oni siedzą jak na tureckim kazaniu." — " Ale zato my się rozumiemy doskonale " — powiedziałem. — " Ano, rozumiemy się rzeczywiście — potwierdził. — I zdaje mi się, że powinniśmy być sobie bliscy nie tylko w mowie. Cóż nam przyjdzie z wzajemnego wypominania sobie dawnych krzywd czy uraz? Każdy na to inaczej patrzy i myśli, że słuszność jest po jego stronie. A ona . . . może, tak jak prawda, gdzieś po środku . . ." — I jakby dla udowodnienia, że lody niechęci topnieją, rzucił jakby od niechcenia: — " Macie dobrych marynarzy, spotykam ich często i widziałem przy robocie w konwoju. Lotnicy też podobno dzielni "*hlapci.*"

Odwzajemniłem się wyrazami uznania dla lotników czeskich, wspomniałem, że w obronie Tobruku oddział czesko-słowacki walczył mężnie pod polską komendą, że spotkałem żołnierzy czeskich noszących polskie odznaczenia za kampanię wrześniową.

Czech rozchmurzył się zupełnie. Szturchnął mnie w bok kordialnie i roześmiał się szeroko: — " Aleś, "*kluku zatraceny,*" pamiętał dokładnie datę tego . . . stycznia. Może jeszcze wiesz, czy to było w środę, czy w piątek? " — " Pamiętam jeszcze inną, znacznie starszą, odpowiedziałem: 15 lipca 1410, kiedy wasz sławny Žižka walczył z Polakami pod Grunwaldem przeciw Krzyżakom. — " A tak, tak — przyznał — różnie tam bywało w naszych dziejach, ale myślę, że lepiej nam było, kiedyśmy szli razem a nie przeciw sobie. Przecież — przypomniał sobie — i "*Taticzek*" Massaryk powiedział, że nie ma silnej Czechosłowacji bez silnej Polski i na odwrót " . . .

—" No, więc co z tego wynika " — prowokowałem go świadomie.

—" Czy ja wiem? Chyba to, że trzeba się nam po tej wojnie jakoś zejść razem, dogadać, porozumieć . . . może nawet połączyć . . . Tylko — dorzucił jeszcze, wstając — . . . to meldowanie się w wojsku powinniście zmienić i dostosować do naszego . . . "

—" Dobrze, bracie." Uścisnęliśmy sobie mocno ręce.

2. AUSTRALIJCZYK

Dzień był jak rzadko w Szkocji się zdarza: duszny i mglisty zarazem. Słońce dziwnie jakoś leniwe tego dnia skryło się za nieprzenikliwą zasłoną niskich chmur i grzało raczej, niż świeciło. W jadalni " Victoria Club " było w porze obiadowej ciszej, niż zwykle. Jakiś smutek padł na serca i przygasił uśmiechy. Szczególnie zgnębiony i zły zarazem był siedzący naprzeciw mnie kapral australijski. Nasunął na czoło szerokoskrzydłowy kapelusz, uprzejmie krzątającym się paniom odpowiadał opryskliwie i niechętnie, wreszcie wydobył z kieszeni zmiętą gazetę i podsunął mi pod nos: — "*Did you see? Nice news, isn't it?*" — powiedział ironicznie wskazując palcem stronę tytułową, na której wielkimi literami czernił się napis: "*Tobruk falls to Rommel.*" — "*Did you see?*" — powtórzył pytanie.

Niebardzo wiedziałem do czego zmierza, więc oględnie i " dyplomatycznie " bąknąłem coś na ten temat, że to istotnie przykra porażka, ale nie klęska decydująca, że Ósma Armia na pewno powstrzyma ofensywę niemiecką i t.p. Ale Australijczyka nie przekonały te optymistyczne banały: — " Taki skandal, taki nieprawdopodobny blamaż — żołądkował się w dalszym ciągu — Australijczycy z Polakami bronili Tobruku przez 8 miesięcy i nie dali go Niemcom, a te cymbały południowo-afrykańskie przefujarzyły wszystko w ciągu kilku godzin. Nawet jednego dnia nie wytrzymali! . . . " — Tu popłynęły hojnie epitety, z których część tylko rozumiałem, ale były, zdaje się, dość " mocne."

—" Czy pan brał udział w obronie Tobruku " — zapytałem. — " Nie, ale był tam mój brat, Joe, i Frank, brat mojej dziewczyny. Od nich dowiedziałem się, jak to tam wyglądało i jacy wspaniali "*chaps*" są Polacy. Dlatego polubiłem was, zanim was jeszcze poznałem i dlatego diabli mnie biorą, gdy czytam takie oto nowiny." — Tu wyrżnął pięścią w stół, aż podskoczyły talerze.

—" Powiedz mi coś o Polsce " — zaczął nagle z innej beczki. — " Duży to kraj, ludny, bogaty? " Zrobiłem możliwie zwięzły wykład propagandowy.

—" A ty sam skąd pochodzisz, gdzie zostawiłeś rodzinę. Jak się nazywa twoje miasto " — posypały się dalsze pytania. Powiedziałem.

—" Aha. Lwów."

—" Lwów znaczy po angielsku: "*City of Lion*" . . .

—"*City of Lion.*" Ładna nazwa. Powiadasz, że to na wschodzie Polski? *say*, słyszałem coś, że macie tam jeszcze inne jakieś sąsiedzkie kłopoty."

—" Ano nasz wschodni sąsiad jest potężny i . . . zdecydowany."

—" Aha. Rozumiem. O! " — W tym miejscu padło określenie, którego nie ważę się powtórzyć ze względu na wielki szacunek dla idei jedności sprzymierzonych narodów . . . — " Wiesz, co ci powiem — wrócił do tematu Australijczyk. — " Ja tam nie polityk, ale tak myślę, że skoro wasi chłopcy razem z naszymi tak dobrze się bili w Tobruku, to jakbyście kiedyś potrzebowali naszej pomocy, tobyśmy chyba poszli. *Gosh*! Jak się tam ten twój polski Tobruk nazywa? Aha: "*City of Lion.*" Bardzo ładne imię."

3. HOLENDER

Ten holenderski sierżant nie miał wcale tylekroć chwalonej i podziwianej " marsowej postawy." Rumiany, zażywny jegomość, dobrze już po czterdziestce, wyglądał raczej na zamożnego kupca, albo solidnego urzędnika pilnie dopracowującego się emerytury. Rozmowę przy stole nawiązał on pierwszy pytaniem o moją rodzinę. Odpowiedziałem, że wieści z Polski są bardzo rzadkie i skąpe. Pokiwał głową ze zrozumieniem: — " Ja także niewiele wiem o mojej żonie i dzieciach. Miasteczko, w którym zostawiłem moich najbliższych leży niedaleko od wybrzeża. Podobno Niemcy wysiedlają ludność z tamtych okolic, gdyż budują jakieś fortyfikacje przeciwinwazyjne, ten ich " Wał Atlantycki." Bóg wie, co się tam z moimi dzieje."

Już chciałem zacząć konwencjonalne w takich okazjach " słowa pociechy," gdy Holender przysiadł się bliżej i jakby zażenowany ciągnął dalej: — " . . . Widzi pan, teraz to ja was Polaków dobrze rozumiem. Ale był czas jeszcze nie tak dawno, że było inaczej . . . Wstyd mi teraz, ale przecież muszę to powiedzieć panu, jak już powiedziałem przed tym kilku pańskim rodakom . . . Ostatnie lata przed wybuchem wojny spędziłem w Indiach Wschodnich; do kraju wróciłem w styczniu 1939 r. Po długim pobycie w strefie Pacyfiku, nie bardzo się orientowałem w sprawach politycznych i rzecz jasna nie miałem pojęcia, że burza jest już tak blisko . . . Kiedy więc 1 września przyszła wiadomość, że Niemcy wtargnęli do Polski, że bombardują otwarte miasta, to — szczerze muszę wyznać — obok współczucia dla was wzbudziła się we mnie niechęć. O co walczy ten awanturniczy naród — myślałem. Dlaczego nie zgodzi się na budowę tej szosy strategicznej i nie odstąpi Gdańska, który jest i tak miastem niemieckim? Jakże można narażać własny kraj na zniszczenie i prowokować wojnę dla takich błahych spraw . . . Niech się pan nie dziwi: jeszcze wtedy nie wiedziałem kim naprawdę są Niemcy . . .

W kilka miesięcy później Holandia padła ofiarą napadu. We własnej ojczyźnie widziałem zbombardowane spokojne miasta i osiedla, widziałem zabite kobiety i dzieci, widziałem zdradzieckie działanie V kolumny . . . I wtedy dopiero oceniłem wartość bohaterskiej decyzji narodu polskiego i zrozumiałem, że gra szła nie o jedno miasto, ale o narzucenie całemu światu niemieckiego panowania. Uciekłem z kraju i wstąpiłem do armii, choć — dodał melancholijnie — nie jestem już w tym wieku, kiedy mężczyźnie uśmiechają się dalekie podróże i przygody. Ale robię, co umiem i jak umiem najlepiej, bo widzi pan . . . uważam, że myśląc tak, jak myślałem przed wojną i nawet po jej wybuchu, zawiniłem bardzo i chciałbym tę moją winę jakoś odpracować w miarę możności . . . I to jest właśnie to, co chciałem powiedzieć . . .

Słaba to pewnie satysfakcja dla pana, a żaden skutek dla pańskiego kraju, jeżeli skromny człowiek, taki jak ja, przyzna się otwarcie do tego, że się omylił, ale widzi pan — zakończył wstając z krzesła — mam wrażenie, że takich, którzy przejrzeli i zrozumieli, jest wielu, bardzo wielu i że są wśród nich ludzie przewyższający nieskończenie i rangą i znaczeniem holenderskiego sierżanta. Tylko . . . jeszcze nie wszyscy mogą się zdobyć na tyle szczerości, by mówić o tym tak, jak ja . . . "

Uścisnąłem mu rękę serdecznie.

4. SZKOT

Szkot przystąpił do mnie na ulicy. Formalnym powodem nawiązania znajomości była prośba o ogień do papierosa, ale najwidoczniej o coś innego mu szło, gdyż po moim: "*Sorry I haven't*" szedł obok mnie dalej, zagadując coś o pogodzie i pytając, czy mi się podoba Edynburg. Wkrótce zresztą znudziło go to kołowanie, gdyż zagaił rzecz prosto z mostu: — "*Do you mind, chum, if I ask you something?*"

—"*Oh, not at all. Go ahead!*" — powiedziałem uprzejmie. W istocie jednak nie miałem najmniejszej ochoty do rozmowy, wiedząc z góry, o co mnie chce pytać ten żołnierz i z niechęcią myśląc o tym, że znowu przyjdzie wysłuchiwać nieprawdopodobnie naiwnych rad na temat " realizmu."

Ale mój rozmówca w zawadiacko nasuniętym na ucho berecie "*Royal Scots*" jakby wyczuł moje myśli, bo dość niespodzianie dla mnie powiedział: — " Wiem, że trudno każdemu z was po dziesięć razy tłumaczyć to samo ludziom, którzy niezawsze wiedzą dobrze o co idzie, ale cóż począć? Musicie wierzyć, że nie każde pytanie o wasze żywotne sprawy wywołuje tylko czcza ciekawość, tak jak nie każdy zarzut, kierowany w waszą stronę, jest objawem nieprzyjaźni czy złej woli . . . "

—" Nigdy nie posądzamy o to naszych brytyjskich sojuszników — powiedziałem — wiemy, że bardzo często krzywdzące Polaków i Polskę opinie powstają z powodu nieznajomości naszej sprawy, czasem echa wiwatowych strzałów są tak silne, że zagłuszają . . . "

—"*I see what is in your mind* — zauważył Szkot. A po chwili dodał: — To okropna rzecz mieć dwóch potężnych sąsiadów wrogo usposobionych . . . "

—" Rozumiemy to dobrze i podczas gdy jednego z nich — Niemcy — uważamy za nieprzejednanego wroga z drugim, od wschodniej strony, chcielibyśmy żyć w zgodzie i przyjaźni."

—" Czy wszyscy pana rodacy tak myślą " — padło niedowierzające pytanie.

—" Może taki szczegół pana przekona: pakt o nieagresji między Polską a Związkiem Sowieckim zatwierdził sejm polski jednogłośnie. Za ratyfikacją opowiedzieli się wszyscy posłowie od prawicy do lewicy."

—"*Say. It's remarkable!*"

—" A w roku 1941, kiedy Niemcy uderzyli na Rosję . . . "

—" Wiem, wiem, wyciągnęliście pierwsi rękę do zgody . . . "

—" Ale . . . Proszę mi wybaczyć szczere pytanie . . . — zmienił temat . . . — czy bez tych *pogranicznych obszarów,* do których zgłasza pretensję Rosja nie moglibyście się jakoś obejść? . . . "

—" Te "*pograniczne obszary*" stanowią 51% terytorium państwa polskiego, a mieszka na nich 1/3 ludności."

—*Is that so*?

—" Tak. A poza tym, drogi kolego, to nie są nasze kolonie, ani mandaty, bo takich Polska w ogóle nie posiada — to jest tylko i wyłącznie "*mother country.*"

—"*Mother country*? " A, jeżeli tak, to macie sto razy rację, że nie chcecie ustąpić. *Mother country* nie można przepołowić za cenę niczyjej przyjaźni. Wyobrażam sobie, gdyby tak ktoś chciał mi zabrać rodzinny Argyl . . . Nie, nie, nie mogę nawet takiej myśli dopuścić . . . Nie, nie. Nie możecie ustąpić i nikt uczciwy nie może tego od was żądać po tylu latach walki . . . "

—" Dziękuję kolego! "

—" I jeszcze jedno. Zdaje mi się, że my Szkoci lepiej was rozumiemy. *Don't you think so*? Jest i w Szkocji trochę takich, którzy są niechętni, ale jesteśmy sami narodem, który ma za sobą długie lata walk o niepodległość i wiemy, co to znaczy żyć pod grozą utraty wolności. Ale teraz się tyle mówi o pokoju, o sprawiedliwości, o zwycięstwie chrześcijańskiego ducha, że nie wyobrażam sobie takiego pokoju, który by się zaczął od ograbienia nie wroga, ale jednego z partnerów. *I simply can't imagine* . . . "

5. AMERYKANIN

Spotkaliśmy się w bramie domu, dokąd się obaj schroniliśmy przed deszczem. Amerykanin najpierw zagadał do mnie po angielsku, ale wkrótce przeszedł na rozmowę polską: — " Macie tu jakiś polski dom w Edynburgu, gdzie się zbieracie? "

—" Owszem. Jest " Dom Żołnierza," " Ognisko szkocko-polskie " . . . "

—" Daleko do tego " Domu Żołnierza " ?

Podjąłem się roli przewodnika, a ponieważ deszcz ustał zupełnie, poszliśmy piechotą, gawędząc po drodze.

—" Skąd jesteście, kolego? " — zapytałem.

—" Z New Jersey. A rodak z których stron Polski? "

—" Ze Lwowa."

—" Wiem, to w południowo-wschodniej części kraju. To duże miasto. Umiem pokazać je na mapie. Zato wioski, z której pochodzi mój ojciec nie umiałem znaleźć na żadnej karcie. Musi być bardzo mała. Ale zapamiętałem nazwę najbliższego miasteczka: *Święciany.*"

—" Kolega był w Polsce? "

—" Nie. Urodziłem się już w Stanach. Rodzina nasza liczna i niebogata, nie było więc pieniędzy na taką daleką wycieczkę, chociaż chciało by się . . . "

To " chciało by się " i " rodak " często wtrącał do rozmowy. Mówił wolno, ale zupełnie poprawnie. Czasem gdy brakło mu słowa, trzaskał w palce ze zniecierpliwienia, ale widocznie ten prosty środek na przypomnienie był skuteczny, bo prawie zawsze odnajdywał w pamięci potrzebne wyrażenie. Gdy pochwaliłem jego staranną polszczyznę powiedział, że chodził do polskiej szkoły, a w domu ojciec i matka stale mówią po polsku. Teraz jest mu trudniej, bo służy w oddziele, w którym oprócz niego jest tylko kilku żołnierzy " polskiego pochodzenia," nie zawsze więc jest sposobność do rozmowy tak, jak " chciało by się " . . . Rozmawia zato dużo ze Szkotami i Anglikami. Oczywiście nie zdradza się od razu ze swoim polskim pochodzeniem i zagaduje na temat Polaków.

—" I jak odpowiadają? "

—" Na ogół chwalą nas — podkreślił specjalnie słowo: "*nas*" — i muszę powiedzieć, że bardzo przyjemnie jest słyszeć pochwały polskich lotników i marynarzy. Ale, gdy rozmowa zejdzie na sprawy polskie, to już nie jest tak dobrze. Niektórzy ledwie wiedzą coś o Polsce, a czasem plotą takie bzdury, że słuchać nie sposób. Niedawno jeden Anglik bardzo się użalał przede mną na brak rozsądku u Polaków, którzy zagrabili kiedyś dwa wielkie rosyjskie miasta: Lwów i Wilno i nie chcą ich oddać. Chciało by się go zboksować za takie gadanie, ale pomyślałem sobie, że go nie przekonam w ten sposób i jeszcze hańba na mnie spadnie.

Więc przygadałem mu tylko mocno i powiedziałem, że chcę po wojnie odwiedzić z rodzicami Wilno i znaleźć je tam, gdzie być powinno — w Polsce. Bardzo się jeszcze zdziwił, co ja, Amerykanin, mogę mieć za interes w tym, żeby Wilno pozostało przy Polsce, ale mu powiedziałem, że to nie tylko mój, ale i jego "*business*" być powinien. Czasem, co prawda, i w Stanach można się spotkać z bardzo osobliwymi poglądami na te sprawy, ale tam jest lepiej, no i Polonia czuwa. Nie pozwoli ona nikomu Polski skrzywdzić."

Dochodziliśmy właśnie do " Domu Żołnierza," gdy Amerykanin nagle rozmyślił się: — " Nie, nie pójdę tam teraz. Wiem już, gdzie to jest, więc trafię tu kiedy indziej. Pomyślałem sobie, że pewnie pełno tam chłopców, którzy przyjechali na urlop, każdy szuka rozrywki w mieście i może niechętnie będzie ze mną rozmawiał. A jabym chciał pójść w takie miejsce, gdzie by było dużo Polaków, żebym mógł z nimi nagwarzyć się do syta i żebym nie słyszał obok siebie innego języka jak tylko polski. Bo chciałbym sobie, proszę rodaka, trochę . . . mowę naprawić."

O tych moich przygodnych rozmówcach myślę często, szczególnie teraz . . . Ile razy opadną mnie czarne myśli, ile razy pod wpływem dziwnych, niepojętych zdarzeń czuję się zgnębiony i przybity, stają mi przed oczyma ich twarze.

Szukam ich często myślami, tych moich " aliantów." Szukam ich, bo chciałbym, aby to, co powiedzieli mnie prywatnie, oświadczyli głośno, publicznie tysiącom innych. Chciałbym, aby takich, jak oni — moi interpelanci — były tysiące, miliony. Żeby pod ich wpływem, pod wpływem ludzi, którzy rozumowali uczciwie, przebudziła się i przemówiła nareszcie rzecz wielka, ale zagłuszana i zapominana — w której istnienie każdy z nas wierzy głęboko — SUMIENIE ŚWIATA.

LUDWIK BOJCZUK

Nad wielką wodą

II*

O *Coastal Command* mówią powszechnie, że nie ma żadnych przywilejów floty, a wszystkie utrapienia lotnictwa. Bóg jeden wie i my sami, ile w tym ponurej prawdy. Warunki zresztą są tylko kwestią przyzwyczajenia — życie ma inny smak, gdy się doń wraca po pracy. Inaczej wtedy śmieją się kobiety i inny jest zapach perfum, a nawet słońce, zwykłe słońce inaczej świeci w Londynie, niż u nas. Choć może nie jest tak bogate w piękno, jak w dzień pogodny na Atlantyku.

Ten urok pracy i powrotów nęci, przyciąga jak narkotyk. Bez niego życie jest niepełne i głuche. Bez niego życie w ogóle nie ma sensu!



Startujący "Wellington"



W stronę "wielkiej wody"

foto Krydner

Więc tu, w odległych światach znoju, w zapomnianych zakątkach globu, gdzie tężeje wola i hartuje się charakter człowieka, rodzi się radość. Prymitywna, ludzka radość zamknięta między materialnym światem zmysłów a metafizycznym światem Boga. Radość życia.

Tu, na krańcach bocznic kolejowych, w poświście wichrów i skośnych strugach deszczu, na zapadłych, odciętych od świata Stacjach, żyje Lotnictwo Obrony Wybrzeża. Żyjemy my. W przewiewnych, zimnych "beczkach śmiechu" gnieździmy się *ad infinitum*, bo tak mniej więcej długo trwa nasza operacyjna tura.

Jak mówi żart, nawet Bóg przychodzi do nas tylko raz w tygodniu — ze Mszą Św. Poza tym pustka, skały dzikie, utopione wśród skał lotnisko i mewy. Mewy, które krzyczą ludzkimi głosami.

W tej rozmokłej, pozornie przeraźliwie niezmiennej nudzie pracy i otoczenia, płynie wegetacja automatów, ciągle niezmiennych zadań, zawsze tych samych dróg. Dróg wytyczonych w nierealnym świecie rozpiętym między niebem i wodą. Z rzadka przerwie ją palba broni maszynowej, czy ożywi łoskot rzucanych w ataku bomb. Jak w piekielnym zegarze wyznaczonym na dni i miesiące, kręci się życie w kołowrocie startów, patroli i powrotów. Gdy morze wciąż jest to samo, ironiczne i groźne.

Czy słońce świeci, czy deszcz pada, w gęstej mgle, czy mroźnych szkwałach sunie korowód maszyn w dalekie, odległe wody na loty po godzin dziesięć, piętnaście i więcej! Z jedyną wiarą, z jedną nadzieją, że przecież silnik nie zawiedzie, że bomby celnie wybuchną. Tak jest — dniem i nocą.

Nie mamy możliwości ucieczki, niepotrzebne są nam spadochrony. Nie znamy przymusowych lądowań — Atlantyk jest wielki. Zawieszona w przestrzeni załoga na setki mil od bazy zdana jest tylko na własne siły i sumienność mechaników. Na zręczność nawigatora i oczy strzelców. Tu, błąd popełnia się tylko jeden raz, a każdy galon paliwa jest substancją życia.

I idą maszyny, muszą iść, bo dzień za dniem i noc za nocą wychodzą z portów niemieckie okręty podwodne i przecinając nam traki idą na żer. Płyną na Atlantyk. Więc "Wellingtony," "Liberatory," "Halifaxy," "Cataliny," i "Sunderlandy" idą w odległe przestrzenie mórz, by szukać zwodnego celu, którym jest krzyżyk na mapie w otoczeniu grupki cyfr — szlakiem, kreślonym cienką linią na białej karcie papieru.

W maszynie cisza. Jedynie kołyszą jak do snu pomrukiem silniki i wabią oczy barwne, fantastyczne kształty chmur. Słowo w słuchawkach jest groźbą — groźbą walki na środku Atlantyku.

Lotnictwo Obrony Wybrzeża pokryło siecią swych patroli Biskaje, pokryło i Atlantyk. Zrobiło to tak dokładnie i sumiennie, że następca Raedera, Grossadmiral Doenitz, rwał sobie włosy z głowy. *Coastal Command* pokazała co umie: niepokonany dotychczas, podwodny korsarz mórz, znalazł przeciwnika. Zaczęły nie wracać okręty podwodne. Początkowo pojedyńczo, z rzadka. Później coraz częściej i częściej. Atlantyk zrobił się mały — nie było dnia, by okrętów nie atakowano. Na miejsce zestrzelonych "Wellingtonów" i ich nowszych kolegów Bardzo Dalekiego Zasięgu, zjawiały się zaraz następne i choć atakowane zaciekle z powietrza i wody, dociskały coraz dokładniej żelazną obręcz patroli na Biskajach.

Przed sztabem niemieckiej admiralicji powstał problem, jak wyjść na Atlantyk? Jak przebić się przez sieć dozorowania? Okręt musi wynurzyć się, by podładować akumulatory, musi wyjść na powierzchnię, aby odnowić zapas powietrza — lecz tam, w górze, czekają samoloty! Na niegroźny, prawie bezbronny w wynurzeniu okręt podwodny.

Uzbrojono więc okręty potężnie, sprzężoną bronią maszynową i dano rozkaz walki na powierzchni. Ale okręty ginęły. Zmieniono taktykę i nakazano walkę w szykach zaporą ognia. Okręty ginęły nadal. Przyszły czarne dni ofensywy podwodnej Niemiec. Wyjście w morze równało się prawie samobójstwu. Okręty bez przerwy tropione, atakowane i niszczone, trzymane w ustawicznym napięciu i gotowości bojowej, ogłuszone wybuchami bomb, jeśli zdołały przedrzeć się na Atlantyk, zmęczone bezsennością i czuwaniem stawały się łatwym już łupem dla czekającej na nie Floty. I konwoje bezpiecznie przekraczały Atlantyk.

Czasy te, to najpiękniejszy epos bohaterski *Coastal Command*. Okręt przestał być wobec samolotu bezbronną masą żelaza, niezdolną do walki na powierzchni. Został uzbrojony i to w broń śmiertelną, tak groźną dla atakujących ją samolotów, jak torpeda dla statku. Kroniki *Coastal Command* zapełniły się opisami wstrząsających walk, gdy okręty gniecione wybuchem bomb tonęły, a obok nich w rozlewisku palącej się benzyny, płonęły zestrzelone przez nie samoloty. Zaczęła się walka "na wymianę": okręt za samolot, samolot za okręt. Walka bez litości i bez pardonu, w której decydowały tylko: śmiałość ataku, zręczność i determinacja. W której częstokroć atakujący i atakowany szli wspólnie na dno, zbratani śmiercią.

Skrzętni historycy spisujący dzieje tych wielkich dni oddadzą kiedyś hołd tym naprawdę bohaterom. Dzięki nim druga runda walki o Atlantyk została wygrana. Pojedyńcze "paczki" okrętów, które mimo wszystko okrężną drogą przesiąkały w strefy operacyjne konwojów, umiejscowione i "plotowane", przestały być groźne dla wypoczętej i ruchliwej eskorty. Zresztą tam również czuwał wszędzieobecny i szybki samolot /z baz lądowych lub lotniskowca konwoju/.

Przyszedł ponowny rozkaz powrotu wszystkich niemieckich okrętów podwodnych do baz — szans walki nie było prawie żadnych. Ustały meldunki o spostrzeżonych okrętach podwodnych. Samolot zwyciężył.

Gdy jesień 1942 roku była rekordowym okresem zatopień tonnażu Sprzymierzonych przez niemiecką ofensywę podwodną, już pierwsze miesiące zimowe tegoż roku dały wyniki pracy *Coastal Command*, ograniczając wydatnie straty. Co więcej, wzrosła liczba okrętów zniszczonych przez samoloty.

Pierwsze miesiące wiosny 1943 roku pogłębiły ten obraz jeszcze bardziej, składając straty niemieckiej floty podwodnej w większości, w ręce lotnictwa. *Navy* zajęła rolę biernego świadka tych zapasów, "Paczki" okrętów podawano sobie z rąk do rąk, w zależności od zasięgu patrolujących poszczególne rejony maszyn. Po prostu "wykańczała" okręty będące poza zasięgiem lotnictwa. A zasięg ten był bardzo duży.

Tymczasem na niebie zmagano się o przewagę w powietrzu. Weszły do akcji nowe eskadry *Luftwaffe*. Zaczął się akt trzeci tragedii atlantyckiej.

W bitwie tej, toczonej nad ogromną przestrzenią wód i chmur, gdzie wypiętrzone cumulusy były tak samo schronieniem, jak i kryjówką do ataku, przemykały się ostrożnie maszyny badając każdy cal, każdą milę kwadratową przestrzeni w poszukiwaniu samolotów wroga. Załogi powracające z lotów miały obolałe, opuchnięte od wypatrywania oczy.

A Niemcy hulali! Wychodzili w morze siłą, dufni w przygniatającą przewagę sprzętu, ilości i uzbrojenia; botaterscy wobec samotnych "Wellingtonów." Zdarzało się, że nawet "Liberatory" z Bardzo Dalekiego Zasięgu atakowane były przez formacje myśliwców niemieckich w składzie dwanaście maszyn i więcej!

Nasi myśliwcy dwoili się, troili, klęli w sposób straszliwy, lecz nie mieli szczęścia. Niemcy dysponując zaskoczeniem taktycznym, zjawiali się tam, gdzie się ich nikt nie spodziewał, i znikali jak duchy. Doszło do tego, że spędzili nas z dnia, zostawiając go szybszym i lepiej uzbrojonym kolegom. Przeszliśmy w noc.

W Dyonie pamiętano ostrzeżenie zaginionych załóg i latano indywidualnie, "na nosa." Ogólną zasadą było: za wszelką cenę nie dać się zaskoczyć! To był jedyny, możliwy ratunek. Ciężkie to były dni, gdy wielogodzinne loty schodziły w nieustannym czuwaniu na najwyższej granicy napięcia nerwów. Na krańcach wydolności fizycznej. Sąsiedni dywizjon angielski, miał nowe straty i kilka ciężkich, cudem przetrzymanych spotkań. Aż przyszedł dzień, który przełamał passę niepowodzeń i otworzył ostatnią już chyba, wspaniałą kartę Bitwy o Atlantyk.

Dnia 6 września oficer służbowy Dyonu wpadł na śniadanie jak bomba: — "Nasza 'Emka' nadała S.O.S. Wiecie"? i wypadł za drzwi nim kto zdążył zapytać o szczegóły.

Nad lotniskiem rozgrywała się tragedia. Cichy, prawie bezimienny epos, który w życiu lotniczym się nie liczy, który jest chlebem codziennym, oczywistością. Konflikt instynktu życia z poczuciem obowiązku i przywiązaniem do maszyny. Pewnego rodzaju *fair play*, która nigdy nie będzie zrozumiana przez ludzi, którzy nie latali.

Ratowano śmiertelnie rannego "Wellingtona" na ostatnich kroplach paliwa. Przez kręgi eteru płynęły szybkie pulsy fal, niosących prośbę i odpowiedź — radę. Mikrofon w *Flying Control* drgał dramatycznie. Słowa padały wolno i jedwabnie, pieściły się w pełne, dźwięczne kształty. Mikrofon chłonął odpowiedzi i niósł w powietrze.

— "*. . . hallo "M" for mother —"M" for mother—you may land — you may land . . . we are ready.*"

Ruszyła sanitarka i ciężki wóz pożarny. Nad pobrzeżem lotniska wchodził w okrążenie "Wellington." Martwo chwiejące się podwozie, otwarte drzwi bombowe, dociskane wiatrem klapy. Kładł się wolno w zakręt, ostrożnie. Podchodził do lądowania. Z *runway'u* zerwało się z wrzaskiem stado mew. Raptem na skraju lotniska dał gaz, zajęczał silnikami, zawył i poszedł nad gładzią *runway'ów* w kierunku łąk, na bagna. I przerwał ! !

Przyciężka, wysrebrzona rannym słońcem sylweta, przywarła resztką pędu do ziemi i szła, czesząc podmuchem wilgotne od rosy trawy. Aż w ciszę nastałą wdarła się łoskotem kraksa ! !

Trysnęły wysoko czarne strugi błota, prysnęły w górę bezwładne już szczątki połamanych śmigieł. Błysnęły ogniem silniki i zgasły. . . Kto żyw biegł ratować załogę. Mechanicy zzuli gumowe buty i wpadając po pas w bagno przedzierali się do maszyny. Leżała już cicha i bezwładna.

Z maszyny wyszedł pilot i siadł na kadłubie. Załoga żyła.

W "*Operation*" dzwoniły telefony. Pierwsza maszyna, która w tym okresie wróciła po walce — sensacja! Opatrywano rannego nawigatora i "spowiadano" resztę załogi. Grupa żąda szczegółów, i to natychmiast!

Mówili wolno, podniecając się w miarę opowiadania. Wracali rankiem z całonocnego patrolu. Świt wstawał szary i chmurny. Była godzina 6'30 rano. Z mroków uchodzącej nocy wyłaniał się cienki stratus naszpikowany grubymi kłębami cumulusów, jak połciami słoniny. Wtedy nawigator wstał od stolika i przeszedł do astra, otworzył mikrofon i powiedział: —

"Uwaga strzelcy, dobrze patrzeć, bo może być niebezpiecznie." A było to na wieleset mil od bazy.

I nagle stało się to, czego każda zwykle załoga oczekuje w każdej godzinie lotu, a czego nigdy później dokładnie odtworzyć nie potrafi: dostali ogień z chmur! W przerwie, między dwoma cumulusami.

Na czarnym tle chmur wyzłociły się naraz smugi pocisków zapalających, objęły całą maszynę, spętały. Gwałtowny unik, jeden, drugi. Znowu seria, powietrze wyżarzone ogniem. Chmura, cień — i, k o n i e c c h m u r y ! Znów ogień, strzelają strzelcy. Smród swąd, trzask i płomień. Wali się do wody "Ju. 88," z boku nowe dwa i z przodu i z tyłu! ! "Wellington" wije się w cudacznych skrętach, świetlne ogniki pocisków krzyżują się ze wszystkich stron. Pryska odstrzelona kopułka astro — w ustach smak krwi. W płomieniach idzie w dół zestrzelony "Ju. 88." Strzelcy strzelają. Nowe serie . . . Uniki . . . U n i k i

Chmura. Cień! Łagodny skręt na "jedynkę." Bezpiecznie . . .

Nikt nie powiedział nawet słowa, nawet nie zdążył otworzyć mikrofonu. Do bazy poszło tylko S.O.S.

"Wellington" dowlókł się do lotniska, resztką sił. 116 przestrzeleń z działek i k.m., zablokowana przednia wieżyczka, zniesione *astro* i zegary pilota. Zniszczone podwozie i hydraulika.

Tak wyglądała ta walka, typowa dla *Coastal Command*! Dzwoniły telefony do Grupy, niosły szczegóły, pozycje, fakty. I dopełniły obrazu zasadzki taktycznej wroga. Przełamały passę niepowodzeń.

W kilka dni później Polski Dywizjon Myśliwski w *Coastal Command* odniósł pierwszy, wielki triumf nad wodami Atlantyku, zestrzeliwując 5 "Ju. 88" i 1 "Me. 110" na pewno, prawdopodobnie 2, a 4 uszkadzając. Powtórzył go i powtórzyły go później /choć nie w tak bogatej osnowie/ Dywizjony Angielskie.

Wojna na Biskajach weszła w nowe stadium. Stadium, w którym niemiecka flota podwodna po powrocie do baz przezbroiła się do nowej wojny i nowych warunków, jakie ostatnie miesiące stworzyły na Atlantyku. Do wojny radiowej.

Kiedyś do tego powrócę, dziś jeszcze na to nie czas, ta karta wciąż leży otwarta. Można jednak już dziś powiedzieć spokojnie, że niemiecka ofensywa podwodna załamała się ostatecznie i czasy sprzed roku w tej wojnie już nie wrócą. Wyścig nauki i techniki trwa, lecz nie ma takiej broni i nie ma takiego środka, którym by okręt podwodny mógł zaszachować samolot. Dziś już nie istnieje możliwość, by okręt podwodny mógł niepostrzeżenie przejść przez Atlantyk. Samolot z baz lądowych zaczyna opanowywać morza!

Dywizjon nasz Ziemi Śląskiej, tradycję swą wywodzący z *Bomber Command*, lata w *Coastal Command* od maja 42 roku. W ciągu swej pracy zrzucił na cele w Niemczech, Francji, na porty, okręty i okręty podwodne:

1,226,671 funtów bomb — *sapienti sat*!

Stoczył 34 walki z myśliwcami wroga.

Atakował 21 okrętów podwodnych!

Z walk tych wielu wyniosło na piersiach krzyże i wiele krzyży ujęło w cień swój kolegów, którzy odeszli. . . Lecz wielu, bardzo wielu zostało tam, gdzie ni krzyża, ni znaku dla nich nie stanie, gdzie wiatry dzikie chłoszczą fale szalone. Wśród zimnych, spienionych wód Atlantyku.

Na W I E L K I E J W O D Z I E . . .

Pisane w Kornwalii, w listopadzie 1943.

JERZY GŁĘBOCKI

* Por. nr. 9 "Polski Walczącej" z b.r.

Żołnierze polscy we Włoszech

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")

Na komandosowskim szlaku



Polski "commando"

Za dwie, trzy godziny miał być świt. Nieprzyjaciel wciąż jeszcze trzymał pierwsze pasmo wzgórz. Po pięciu godzinach walki byliśmy wciąż w dolinie. Przeszliśmy przez oddziały brytyjskie i dochodziliśmy do podnóża góry. Należało opanować grzbiet dominujący nad wioską Sujo. Zadanie proste. Zadanie, o które się rozbiły dotychczasowe wysiłki.

Dowódca kompanii zadecydował, że nasz pluton pójdzie na tę robotę. Reszta kompanii otrzymała inną pracę. Od zdobycia tego grzbietu zależało dalsze powodzenie natarcia i możliwość łatwiejszego opanowania sąsiednich wyniosłości. Od powodzenia tej akcji uzależniony był stosunek sztabu dywizji do nas Polaków. Wreszcie od wykonania zadania zależały nasze życia.

W głowie szumiały mi słowa kapitana: "W pierwszym rzędzie pamiętaj, aby wykonać zadanie." Każdy z nas musi wykonać zadanie, jakie mu jest powierzone, bez względu na to, co go czeka. Wykonać zadanie, wykonać zadanie, a przede mną prawie spadzista ściana tego wzgórza, porośnięta gdzieniegdzie dzikimi krzewami, gdzieniegdzie zaś pokryta porozrzucanymi głazami, cudem zwisającymi nad przepaścią. Bardziej w prawo łagodniejsza ściana na szerokość do stu metrów, dalej przepaść, po czym znów nowa ściana zbiegająca się z naszym wzgórzem gdzieś przy wierzchołku.

Niejeden już próbował podejść od tamtej strony, lecz bez powodzenia. A nieprzyjaciel stał się czujniejszy, choć był zarazem podenerwowany. Ogień jego stał się mniej celny, częstszy i częstokroć niepotrzebny. Byli to jednak weterani spod Stalingradu, uzupełnieni świeżym żołnierzem — jak zdążył nam donieść nasz wywiad. Jednym słowem groźny i zacięty przeciwnik siedział w tym gnieździe nad naszymi głowami.

Szykowaliśmy się do pracy. Porucznik szeptem wydawał ostatnie zarządzenia: — Drużyna trzecia w tyralierze w prawo — drużyna czwarta z lewej strony.

Tymczasem ubezpieczał nas *bren* czwartej drużyny — sam leżałem przy nim. Nasz "brenganista" był starym sportowcem, bokserem w dodatku i raz rozruszany stawał się strasznym zapaleńcem. Ja będąc flegmatykiem z natury hamowałem jego porywy. Jednym słowem uzupełnialiśmy się doskonale — jeśli dodam jeszcze, że "Bouboule" był trzecim w naszym zespole i jak oka w głowie pilnował swego towarzysza, ten zaś myśląc o "Bouboulu" miękł nieco i czekał na grubasa, a zarazem ubezpieczał jego posuwanie się.

R.k.m. naszej drużyny posuwał się na lewym skrzydle. Drużynowy był wszędzie gdzie tylko "coś" mogło być, choć zasadniczo trzymał się z resztą drużyny, z naszej prawej. Patrząc w górę widzieliśmy dokładnie zarys każdego kamienia i krzaka. Serca w nas zamarły. Przez myśl przeszło mi pytanie, czy oni tam na górze równie dobrze widzą, jak i my. Nie powinni, bo to przecież noc . . . Ale ten księżyc co nam w plecy świeci? . . . Nie śmiałem odwrócić się do tyłu, nie chciałem przekonać się czy widzą. — I tak to nic nie pomoże — pomyślałem. Byłem raz jeszcze na stromym wzniesieniu, u którego szczytu leżało Zadanie.

Spod buta któregoś nas wyślizgnął się kamyk. Postacie nasze na chwilę zamarły. Czy on tam posłyszał? Pytanie to przemknęło przez myśl nas wszystkich. C.k.m.-y grały w oddali z lewej i prawej, w dolinie moździerze, u nas panowała cisza. Cisza niezakłócona.

Po chwili ruszyliśmy dalej. Szliśmy coraz ostrożniej i coraz wolniej, a szczyt był coraz bliżej. Niebezpieczeństwo też się zbliżało, lecz nikt z nas już w tym momencie o tym nie myślał. Sztylety nasze wyraźnie zarysowały się na lewej nogawicy *battle-dressu*. Już ponad miesiąc bijemy się z nieprzyjacielem, a jeszcze ani razu nie było sposobności użycia noży.

Całkiem na prawym skrzydle trzecia drużyna z równą sprawnością posunęła się naprzód. Wspólnie zaczęliśmy docierać do ostatnich przeszkód dzielących nas od stosunkowo płaskiego szczytu. Ruch był coraz wolniejszy, postacie nasze przylepiały się do skałek, krzaczków coraz to rzadszych a oczy dziwnie każdemu błyszczały. "Szansik" był chyba z nami — a może Niemcy nas tylko podpuszczali i zaraz z jednego z tych krzaków zioną ogniem.

Zaczęliśmy już iść prawie na czworakach. Przed nami stopniowo zarysowywały się nowe szczyty, potem góry całe. Siedzieliśmy na samym szczycie. Czyż by nieprzyjaciel się wycofał? A może wcale go tu nie było?

Zająłem stanowisko z lewej strony szczytu. Przede mną jakie dwadzieścia kroków piętrzyło się samotne drzewo. Wokół porastały krzaki. "Brenganista" i ja spoglądaliśmy w tę stronę. Od lewej, tuż nad wąwozem ubezpieczał nas Antoś. Zastanawiałem się, co dzieje się na naszym prawym skrzydle, ciekawiło mnie gdzie jest ich *bren* i co mają przed sobą.

Jeszcze te dwadzieścia kroków pozostało nam do przebycia. Może nam porucznik prześle jakiś rozkaz w tym czasie? Wiedzieliśmy dobrze co mamy robić, a jednak oczekiwaliśmy czegoś, co nie nadchodziło. Czegoś było nam brak.

—*Hände hoch* — krzyk rozdarł ciszę nas otaczającą. Padła seria z *bren-gun'a* na naszym prawym skrzydle. Wiedziałem już gdzie jest Franek, ten stary wyjadacz z Legii Cudzoziemskiej, co tylko w diabła i swój *bren* wierzył. Wiedziałem również co on ma przed sobą.

—*Halt, wer da*? — odezwał się ktoś zza drzewa a za tymi słowami posypała się seria ze "*Spandau'a.*"

—Ognia — rozkazałem i nasz *bren* splunął seryjką po seryjce. *Tommy-guny* zaczęły szczekać a z tamtej strony zapanowała cisza. Coś *bren* trzeciej przestał grać — pomyślałem — pewno zacięcie. Wtem padł jeden granat, drugi i trzeci coraz to bliżej nas. Na nowo odszczeknęliśmy krótką serią. Jedną tylko, gdyż nastąpiło zacięcie.

Nowa cisza zapanowała. Z prawego skrzydła drużyna trzecia obchodziła stanowisko nieprzyjaciela. My mieliśmy w razie czego dać osłonę ogniową. Za niecałą godzinę nastąpi świt. Zaczynało już szarzeć.

Trzecia drużyna weszła na stanowisko nieprzyjacielskie. Kolejno zbadano każdy krzaczek i kamyk, lecz Niemcy uciekli porzucając broń i zostawiając dwa trupy. Ten "Frankowy" pierś miał rozdartą a na niej widniał *Eisernes Kreutz*. Parę kroków od niego porucznik schylony wraz z naszym doktorem udzielali komuś pomocy. Któryś z trzeciej widocznie został trafiony.

Pierwszy pluton zmienił nas na stanowiskach. Było już jasno. Szedłem wypocząć gdzieś między krzakami czy skałkami. Po drodze napotkałem rannego — miał rękę przestrzeloną i kość złamaną. Był to nasz legionista Franek. Przystanąłem i spytałem jak to tam było.

—Ano tamoj siedzę za skałką, widzę naraz idzie gość w naszym kierunku i hełm niemiecki zabłysł w świetle księżyca. Krzyknąłem *Hände hoch*, ale on szedł dalej, na to pociągnąłem za spust — trrr — seria poszła a on machnął kozła w powietrzu i zrobił fik-fik. Rozglądałem się dalej i zobaczyłem następnego, ale go jeszcze dobrze nie rozpoznałem, gdy wtem sam od niego dostałem i tylko: "Dżimi, bierz r.k.m." — zdążyłem zawołać i padłem."

Opatrzony Franek odszedł wolno do tyłu. A nas czekało tego dnia nowe zadanie, nowa góra i nowe natarcie.

JERZY JACHIMOWICZ

We włoskim porcie


Pokład polskiego kontrtorpedowca

We Włoszech, w lutym 1944

Kiedy do portu . . . przybywa większy konwój morski, a dzieje się to ostatnio co kilka dni, wtedy ruch panuje nie tylko w porcie, ale też i miasto zmienia swój codzienny, na pozór zdawało by się spokojny, wygląd. Przybysz, w mundurze żołnierza polskiego może niespodziewanie wśród statków włoskich, angielskich, amerykańskich, francuskich, holenderskich i greckich zobaczyć znajomą banderę biało-czerwoną z polskim orłem.

Był taki dzień w porcie . . . kiedy stały w nim aż trzy polskie jednostki. Na molo, do którego przybił "Batory," panował wielki ruch. Wyładowywały się od samego rana polskie oddziały.

Po kilkuminutowym spacerze przekonałem się jednak, że "Batory" nie jest jedynym gościem polskim w porcie . . . Koło mnie stało trzech rosłych chłopców o cerach spalonych słońcem i wiatrem. Na marynarskich czapkach mieli napis: "Polska Marynarka Wojenna."

Rozpoczynamy rozmowę. Moi rozmówcy należą do załogi dwu polskich kontrtorpedowców: "Ślązak" i "Krakowiak." Przyjechali dziś, jako ochrona tego samego konwoju, w którego skład wchodził "Batory." Za parę godzin znów pewnie pojadą dalej. Tak od ośmiu miesięcy płyną od portu do portu na Morzu Śródziemnym, a ostatnio ochraniają konwoje wiozące polskich żołnierzy.

Gdy rozmawia się z nimi dłużej, odnosi się wrażenie, że to jacyś inni ludzie. Bez przerwy są na morzu, walka z nieprzyjacielskim okrętem podwodnym, nieprzyjacielskim okrętem wojennym, czy samolotem — to ich żywioł. Choć okręty ich zarzucały kotwicę już w każdym porcie śródziemnomorskim, nie wiele z lądu widzieli. Przybijają do brzegu na kilka godzin tak jak dziś i natychmiast odjeżdżają. Od wielu miesięcy nie mieli urlopu. Na swych okrętach wożą wszystko, co jest im potrzebne do życia. Słuchają codziennie radia, zwłaszcza polskich komunikatów i w ten sposób wiedzą, co się dzieje na świecie. Gazety polskie przychodzą do nich rzadko, czasem trafi się jakaś w porcie. Od czasu do czasu wraz z pocztą z Londynu przyjdzie pakiet pism.

—Byliśmy w Rosji — opowiada mi dwu spośród nich. — Gdy zwolniono nas z więzień, mieliśmy 20 lat. Zgłosiliśmy się do wojska. Byliśmy w Kermine w t.zw. punkcie zbiorczym marynarzy i lotników i z pierwszą ewakuacją wyjechaliśmy do Persji, a stamtąd od razu do Anglii. Kurs w szkole morskiej trwał bardzo krótko. Więcej nauczyliśmy się w czasie samych działań wojennych. Braliśmy udział w pamiętnej wyprawie kommandosów na Dieppe. Później patrolowaliśmy konwoje, wzdłuż brzegów zachodniej Europy, a od ośmiu miesięcy pływamy po Morzu Śródziemnym.

—I nie nudzi się to życie?

—Pewnie, że czasami chciało by się trochę wysiąść na ląd, ale morze ciągnie. Dziś już nie wyobrażamy sobie życia bez niego.

—Ciekawa rzecz — mówi jeden z nich. — Większość naszych załóg to właśnie młodzi, jak my, którzy morza nie znali. Jesteśmy z okolic dalekich od morza, ja ze Skierniewic, kolega spod Krakowa. Nasza ambicja obecna to dopłynąć na polskich statkach do Gdyni i zostać na Bałtyku. W czasie naszej pracy wiele skorzystaliśmy z uwag i pomocy naszych kolegów — starych wilków morskich jeszcze z Polski. Patrzyli na nas początkowo z góry i nie dowierzali nam. Dziś jesteśmy zgraną i kochającą się gromadą.

Kierujemy teraz rozmowę na inne tematy. Jak wygląda wojna na morzu, niebezpieczeństwa.

—Teraz jest już prawie spokojnie — mówią. — Ale jeszcze do niedawna ciągle spotykało się okręty podwodne i samoloty nieprzyjacielskie. W czasie tych 50 tys. mil morskich, które nasze oba kontrtorpedowce przebyły /bo pływamy zawsze razem/, stoczyliśmy wiele walk. Mieliśmy na swym pokładzie bardzo wielu "gości" niemieckich z zestrzelonych samolotów lub zatopionych okrętów.

Jeden okręt podwodny goniliśmy kilka dni od brzegów Malty do Gibraltaru. Żeby zatopienie okrętu lub zestrzelenie samolotu zaliczyć na swoje konto, trzeba przywieźć namacalne tego dowody. "Ślązak" jest teraz na pierwszym miejscu spośród wszystkich alianckich kontrtorpedowców w klasyfikacji zatopionych okrętów podwodnych nieprzyjaciela. —

Do rozmowy wtrąca się trzeci "wilk morski." Wyjechał z Polski przed dziesięciu laty do Kanady. Gdy tylko wybuchła wojna, zgłosił się z wielu innymi Polakami do wojska jako ochotnik. Brał już udział w osłanianiu ewakuacji wojsk brytyjskich i innych z Dunkierki w r. 1940. Później przeniesiono go do załogi polskiego okrętu i od czasu Dieppe losy jego są takie same, jak i dwu pozostałych kolegów.

—Opowiedzcie coś panu o Sycylii, o desancie na Włochy. To na pewno pana zainteresuje — mówi.

Słuchamy.

—Ilekroć zdarzy się nam wychodzić w morze, nigdy nie wiemy, kogo eskortujemy i dokąd jedziemy. Tak się dzieje codziennie. Dopiero na pełnym morzu podają nam kierunek. Gdy płynęliśmy z Afryki Północnej w kierunku Sycylii i zobaczyliśmy olbrzymie ilości okrętów z wojskiem, domyślaliśmy się, że zanosi się na coś wielkiego. Wspaniale to było zorganizowane. Anglicy popłynęli w jedną stronę, Amerykanie w drugą. Lądowanie zaczęło się w nocy. Ogień artylerii był tak silny, że całe działanie było widać jak na dłoni. W czasie desantu pod Salerno powtórzyła się ta sama historia, tylko że poszło już łatwiej i prędzej. Od tego czasu spotykaliśmy już coraz mniej nieprzyjacielskich jednostek w powietrzu i na morzu.

Słuchamy z zainteresowaniem jeszcze innych opowiadań. Są to rzeczy na ogół znane z komunikatów i reportaży, a jednak ciągle ciekawe, mające jakiś inny koloryt, bo słyszane od ludzi, którzy widzieli to na własne oczy i byli współaktorami tego wydarzenia.

Na mundurze "Kanadyjczyka" dostrzegamy zaszczytne odznaczenie — Krzyż Walecznych.

—Przypiął mi go osobiście Naczelny Wódz gen. Sosnkowski w Aleksandrii. Była to dla mnie niezapomniana chwila.

—Tak — dodają natychmiast z ożywieniem pozostali koledzy. — Naczelny Wódz spędził u nas z gen. Andersem kilka godzin. Troskliwie wypytywał nas o wszystko.

Dużo jeszcze na pewno można by ciekawego usłyszeć od tych dzielnych chłopców, ale robi się ciemno. Im śpieszy się na statek, bo za chwilę może paść rozkaz odjazdu, a ja muszę szukać . . . autostopu, bo z tym środkiem lokomocji nie prędko się chyba pożegnamy.

—A więc koledzy do zobaczenia w . . . Gdyni.

RYSZARD MOSSIN

Niedawno, właśnie w momencie bardzo trudnym dla nas, w kilka dni zaledwie po mowie premiera Churchilla, miałem możność bezpośredniego zetknięcia się z naszymi żołnierzami "w terenie," miałem możność obserwowania ich reakcji, przeprowadzenia rozmów. Myślę, że "Polska Walcząca" jako jedyny tygodnik żołnierski, a może i . . . cywilny na terenie Wielkiej Brytanii, reprezentujący przerzedzone szeregi prasy polskiej na tym teatrze "wojny nerwów," będzie szczerze zainteresowana takim na gorąco zrobionym, choć na zimno podanym reportażem z obozów.

Żołnierz nasz, który przez okres kilku lat, poczynił ogromne postępy na odcinku pogłębienia duchowego i kulturalnego, ma dzisiaj swoją własną ocenę rzeczy, swój twardy, zdrowy osąd, poszczycić się może znacznym wyrobieniem politycznym i społecznym. Pierwszą reakcją na mowę Churchilla, który urósł w legendzie żołnierskiej do ideału najbardziej sprawiedliwego, odpowiedzialnego opiekuna o jowialnym uśmiechu i gołębim sercu — było z d z i w i e n i e. Wielu nie wierzyło, wielu na własną rękę tłumaczyło sobie na "język polityczny" tekst tej mowy, szukając między wierszami ratunku dla troskliwie i serdecznie hodowanej wiary. Rozmawiając z nimi, pojąłem dopiero zasięg i rozmiar niewiarygodnej popularności i sympatii, jaką zdobył wśród mas żołnierzy polskich premier Wielkiej Brytanii.

Trzeba jednak szczerze wyznać, że w wielu wypadkach zdziwienie to przemieniało się w gorzkie rozczarowanie lub w nietajony żal, pełen głośnych wyrzutów. Kto wątpił kiedykolwiek w wartość żołnierza, przebywającego czwarty rok na wyspie brytyjskiej, ten właśnie musiał nabrać dla niego szczególnego respektu. Ogół żołnierski bowiem wykazał ogromne opanowanie, dał dowód w i a r y w sprawiedliwość, dowód zbiorowej dojrzałości politycznej, rzadko spotykanej w dużych zbiorowiskach Polaków.

Bez blackoutu

Większość żołnierzy odruchowo siadała w kantynie, czy świetlicy i najlepiej "umianą" angielszczyzną czy . . . "szkocizną" pisała listy do znajomków brytyjskich, do matek chrzestnych, do sweetheartów, pisała wyładowując swój żal do p r z y j a c i e l a b r y t y j s k i e g o, nie tracąc wiary w jego przyjaźń. Ten niezorganizowany, naturalny odruch — miał momenty wzruszające. Jeden z "korespondentów" opisywał piękno swego rodzinnego miasteczka na Kresach Wschodnich i zapytywał, czy jakiś Jim wyobraża sobie odebranie mu na zawsze jego rodzinnego Forfar, drugi, który stracił rodzinę i dom, pytał, czy jedyna rzecz, a więc miasto rodzinne, które mu pozostało, też będzie mu odebrane po tej wojnie, w czasie której tak wiele mówi się o sprawiedliwości i wolności.

W tych dniach właśnie pokazało się, jakim samorzutnie zorganizowanym a potężnym aparatem dysponują szeregi żołnierskie. Aparat ten przekształca się w razie potrzeby w doskonale funkcjonującą propagandę — przed kominkiem szkockim; tym razem okazał się on narzędziem patriotyzmu i zdrowej myśli narodowej. Szły te listy masami, rozładowywały żal w słowach może niezawsze udolnie i "correctly" napisanych, wyzwalały gorycz, szukały oparcia.

Żołnierz w tym momencie nie zwątpił i, jak mało kto inny na tym terenie, wykazał, że przyjaźń polsko-brytyjska oparta jest o głębokie i twarde podstawy.

Żołnierz oczekiwał informacji . . . W świetlicach widziało się ludzi, którzy w tych dniach w godzinach wolnych od zajęć nie odstępowali od radioodbiornika. Słuchano wszystkich komunikatów we wszystkich językach świata, wyciskano z odbiorników radiowych ostatni "dech" . . . Pragnienie usłyszenia czegoś pocieszającego, a może tylko wyjaśniającego zaćmioną rzeczywistość polityczną było ogromne, nienasycone.

Widziałem kilku żołnierzy zasłuchanych w komunikacie . . holenderskim. Jeden ocknął się: — "Po jaką cholerę tego słuchamy?" — i chciął zamknąć radio. Inny powstrzymał go: — "Czekaj. Może będzie gadał Polak, może coś się stanie." Szkoda, że w tym momencie Radio Polskie tak mało mogło powiedzieć żołnierzowi polskiemu w Szkocji. Szkoda! Zdajemy sobie sprawę z trudności, zdajemy sobie sprawę z tego, że korzysta ono z gościny B.B.C., a jednak kilka krótkich pogadanek — rozumnych, w miarę szczerych, nadanych w tym samym dniu lub w tych dniach "gorących" byłoby na pewno spełniło swoje zadanie.

Żołnierz bowiem w tym momencie był samotny, oddany własnym myślom i przypuszczeniom. "Pogotowie ratunkowe" w postaci XX. Kapelanów, których trudna a wszechstronna działalność jest nieoceniona, oraz wysiłki oficerów opieki, to właściwie tylko pierwsze obandażowanie ran, zadanych prosto w serce — wbrew wszelkim pesymistom — serce żołnierza ciągle bardzo gorące i bardzo czujne. Nie myślę o zastrzykach optymizmu; idzie o podtrzymanie w takich wypadkach wielkiej arterii żywotnej, o którą sam żołnierz bardzo dba — o podtrzymanie wiary i o rozsądne a szczere omówienie sytuacji.

Jeżeli powiedziałem, że żołnierz był samotny w pierwszym momencie uderzenia wiadomości politycznej, to nie po to, by czynić komuś wyrzuty. Doskonale potrafimy się wstawić w położenie tych, co mieli z tytułu pełnionego urzędu czy obowiązku coś powiedzieć na ten temat. Zrozumieć i znać trzeba dobrze "machinę urzędową," która ma ruszyć z takim wyjaśnieniem. To wszystko strasznie długo trwa a godziny mijają, czasem mijają dnie . . . Nic dziwnego, że komunikat holenderski słuchany jest z przegrzanego odbiornika chciwie, choć odruchowo: aby słuchać, aby nie zatracić kontaktu z informacją i rzeczywistością polityczną.

To, że właśnie w tym momencie znalazł się na terenie niektórych oddziałów w Szkocji teatr żołnierski, który mógł i czuł się w obowiązku mówić o rzeczach aktualnych, a wiele niedomówień i żalów rozładowywać w śmiechu — to było raczej rzeczą przypadku. W takich bowiem chwilach otwiera się — według mego zdania — pole działania dla programu radiowego dla żołnierzy, operującego w zasięgu tysięcy słuchaczy. Zadawniona, stara luka. Prasa żołnierska może również spełnić swoje zadanie, ale z konieczności działa już na zimno, przychodzi po okresie "samotności" żołnierza.

Czas przejściowy, to znaczy czas pomiędzy uderzeniem aktualnej wiadomości politycznej, a pomiędzy skomentowaniem jej przez ludzi żołnierzowi najbliższych czy przez organy informacyjne, jest okresem może najbardziej niebezpiecznym. Żołnierz, pozostawiony sobie, może łatwo ulec prowokacjom, które niewątpliwie miały i mieć będą miejsce na tutejszym terenie. Przed znanego typu prowokatorami, przed wyciąganiem żołnierza polskiego na "rozmówki polityczne," co więcej, przed inicjowaniem bójek "politycznych" ostrzegaliśmy już kilka razy na tych łamach. Teraz szczególnie aktualne wydaje się dzisiejsze przypomnienie.

Nie dać się sprowokować podejrzanym elementom, mówiącym często dobrą angielszczyzną, zachować spokój i przeciwstawić się atakom, które coraz intensywniej wypuszcza przeciw nam na przedpola ofensywa wojny nerwów — oto jedno z zadań dla żołnierza na dziś. Trzeba być odpornym i przygotowanym na wszystko. Nie wiadomo, jaką rolę dziejową wyznaczył nam los w tej wojnie . . . Wiemy tylko jaką "Rolę" wyznaczyła Wanda Wasilewska na polskiego "Tita" in spe. Szpetna to rola.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Poszukiwani

Osoby te jak również znajomi, posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, Londyn, S.W.1.

WYKAZ Nr. 36
CIĄG DALSZY

85. **Łakiński** Zbigniew ur. 9.IX.1923 r. w Grodnie — poszukuje matka Halina zam. w Teheranie /6293/.

86. **Ławryniak** Jakub szer. — poszukiwany przez rodziców Maksyma i Oksienie oraz rodzeństwo — Stefanię, Marię i Michała zam. w Z.S.R.R. /3800—82/.

87. **Lesisz** Kazimierz kpr. — poszukiwany przez matkę Walerię i rodzeństwo Tadeusza, Witolda i Halinę zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.

88. **Łopadczak** Teodor szer. — poszukiwany przez żonę Józefę i dzieci — Romana, Stanisława i Eugeniusza zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.

89. **Łyskawa** Franciszek plut. — poszukiwany przez żonę Franciszkę i synów — Henryka i Kazimierza zam. w Z.S.R.R. /3800/82/.

90. **Maciejewski** Rudolf por. — poszukiwany przez żonę Adelę i dzieci — Grażynę i Wandę zam. w Z.S.R.R. /3800/73/.

91. **Małecki** Władysław podchr. — poszukiwany przez ojca Józefa, matkę Kazimierę i brata Kazimierza zam. w Z.S.R.R. /3800/82/.

92. **Malek** Leon kpr. — poszukiwany przez żonę Janinę i dzieci — Leona, Zygfryda i córkę Lidię zam. w Z.S.R.R. /3800/68/.

93. **Mikołajczyk** kpt. lotnik — poszukiwany przez córkę Danutę zam. w S.Z.R.R. /R/124/.

94. **Milewski** Jan plut. — poszukiwany przez żonę Ewę i dzieci — Waleriana, Anielę, Barbarę i Wiesława zam. w Z.S.R.R. /3800/77/.

95. **Młodecki** /bez imienia/ kpt. był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Marię matkę i córkę zam. w Z.S.R.R. /R/63/.

96. **Michułka** Kazimierz — poszukiwany przez siostrę Michalinę Kieszczyńska, Polish Refuge Camp, Malir — Sind, Indie /ma list/ /6858/.

97. **Michalski** /brak imienia/ — żołnierza na terenie Anglii, poszukuje matka Anna przebywająca Polish Settlement Koja, p.o. Mukono, Uganda E.A. /6778/.

98. **Mroziuk** Jana ur. 1920 r. we Lwowie S. Budzisława, — poszukuje brat Kazimierz 2, London Street, Edinburgh /6220/.

Skrzynka pocztowa

PRZECIWKO GROŹBIE ELITARYZMU

Szanowny Panie Redaktorze,

Zamieszczony w nr. 7 "Polski Walczącej" artykuł p. Jana Karskiego p.t. "Kraj i emigracja," nasunął mi pewne myśli. Zastrzegam się jednak, że nie zamierzam spierać się o ten artykuł, zgadzając się z jego zasadniczymi poglądami i intencjami. Idzie mi natomiast o naświetlenie "drugiej strony medalu," drugiej strony spraw poruszonych przez p. Karskiego, jak wiadomo, bojowca, przybyłego z Kraju. Uważam to za rzecz ważną ze względu na to, że pewne niedomówienia artykułu "Kraj i emigracja" pogłębić mogą wypaczenia obserwowane wśród społeczeństwa emigracyjnego. Uważam nadto, że szkodliwe strony zjawisk stwierdzonych przez p. Karskiego udało by się może, choćby częściowo, zneutralizować, wtedy, gdy w pełni je sobie uświadomimy.

W jednym wypadku jedynie zdanie moje jest w zasadniczej sprzeczności z opinią p. Karskiego, czego stwierdzenie konieczne jest dla dalszych moich rozważań. Nie mogę niestety podzielić pochlebnej opinii, wyrażonej przez niego o emigracji. Nie dlatego bynajmniej, bym był skłonny do samobiczowania. Zresztą do emigracji wyspiarskiej zaliczam się od niedawna i nadal uczuciem bliższy jestem armii polskiej walczącej we Włoszech, niż emigracji londyńskiej, lub nawet wojskom polskim w Wielkiej Brytanii. I nie dlatego, bym nie dostrzegał poważnych osiągnięć naszych władz emigracyjnych. Skłonny jestem nawet przypuszczać, że w bieżących swych zadaniach emigracja w zasadzie wywiązała się ze swych obowiązków. Poważne jednak zastrzeżenia budzi postawa moralna tej emigracji.

Wystarczy pobieżnie przerzucić roczniki prasy emigracyjnej, by znaleźć w nich zarzuty natury etycznej, kierowane zarówno przeciwko tym, którzy znajdują się u steru, jak i przeciw stojącym w dalszych szeregach, lecz nie na peryferiach życia publicznego na emigracji. Nie zagłębiając się w dociekania prawdziwości tych zarzutów, stwierdzić jednak muszę, że rzucanie nieprawdziwych oskarżeń jest również ciężkim przestępstwem moralnym. Wystarczy dalej przysłuchać się rozmowom prowadzonym w klubach, ogniskach polskich, a nawet koszarach, by przekonać się, że popłatna posada, ba — nawet żołd i wikt żołnierski przysłoniły wielu spośród nas istotny cel pobytu na emigracji; że "gierka" o poprawę warunków bytu; że dancing, przelotny romansik czy flircik — stały się dla wielu istotną treścią życia w piątym roku najstraszliwszej wojny totalnej, jaką znają dzieje. Może to wszystko jest bardzo ludzkie i bardzo naturalne. Moim jednak zdaniem nie świadczy dodatnio o standardzie moralnym emigracji, jako całości. Stanowić też musi poważny czynnik przy ocenie roli emigracji w przyszłej Polsce.

Słusznie stwierdza p. Karski, że jedynie emigracja będzie mogła "załatać" straszliwe luki wytworzone w szeregach naszej inteligencji. Trzeba sobie jednak uświadomić, że jest z tym związane poważne niebezpieczeństwo, że w parze z "mechanicznym" obsadzaniem stanowisk "przywódczych i kierowniczych" iść może "mechaniczne" powstanie nowej elity, nowej grupy "wybranych." A więc powtórzenie się procesu, który tak groźny osad pozostawił na historii 25-lecia naszej niepodległości.

Zdarzyło się już tak, iż ludzie o niewątpliwych zasługach, niewątpliwym patriotyźmie i bezinteresowności, z chwilą gdy otworzyły się przed nimi progi kariery osobistej, rychło zapomnieli o porywach młodości, stając się pionierami protekcjonizmu, służalstwa i wzajemnej adoracji. Jeśli oni skwapliwie handlować zaczęli swą przeszłością dla uzyskania posad, synekur, czy innych materialnych korzyści, o ileż groźniej przedstawiać się musi perspektywa ułatwionego startu życiowego dla ludzi, którzy zawdzięczać go będą jedynie przypadkowi. Jedynie okoliczności, że w chwili, gdy masy narodu krwawiły się w walce, oni mieli możność pogłębić swą wiedzę, utrzymać normalne funkcjonowanie swych płuc, żołądków, nerwów . . .

Podzielając zastrzeżenia p. Karskiego co do tego, czy emigracja wyzyskała swe niezwykle korzystne warunki dla podniesienia swego poziomu umysłowego i zawodowego, chcę jeszcze na marginesie podkreślić swe obawy odnośnie jej "zdrowych nerwów." W czasie swej tułaczki wojennej zetknąłem się z Polakami — więźniami sowieckich "łagrów," z marznącą i głodującą armią naszą w Rosji, z żołnierzami wracającymi z ciężkiego frontu libijskiego i nigdzie nie zaobserwowałem takich objawów nerwowości, jak właśnie wśród emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii. Nasuwa mi to przypuszczenie, że normalne warunki w nienormalnych czasach wojennych gorzej wpływają na system nerwowy, niż najcięższe przeżycia osobiste.

Wracając do zasadniczego tematu artykułu, chcę dalej podkreślić, że już dzisiaj skłonności elitarne dają się odczuć wśród emigracji. Że już dzisiaj nie należą do rzadkości próby dyskontowania swych, nieraz wątpliwych, nieraz niewątpliwych zasług, dla ukucia sobie z nich kapitału dla przyszłej wielkiej a łatwej kariery. Rzekomy "emigracyjny kompleks niższości" ma dosyć powierzchowny charakter. Obok podkreślonej przez p. Karskiego chęci uchylenia się od odpowiedzialności i . . . pracy, kryje się za nim często beztreściwe powtarzanie modnego frazesu.

Wedle mojej obserwacji, poważny procent emigrantów przesadnie nawet ocenia szerokie perspektywy, jakie otworzą się przed nimi w kraju, przyjmując to nie jako fakt, nakładający obowiązki pracy nad sobą, ale jako nagrodę za owe prawdziwe czy urojone zasługi. Nie będzie zdaje się przesadą stwierdzenie, że wszystkie "przywódcze" stanowiska w życiu publicznym niepodległej Polski posiadają już samozwańczych kandydatów.

Mimo obaw i zastrzeżeń jakie budzi "mechaniczny" proces obsadzania kierowniczych stanowisk w życiu gospodarczym i administracji przez ludzi emigracji, pozostaje jednak faktem, że będzie to proces nieunikniony. Dyrektorem elektrowni, architektem miejskim, radcą prawnym instytucji czy urzędu . . . musi być człowiek z dyplomem wyższej uczelni. I dlatego na uzyskanie tego stanowiska największe szanse mieć będą absolwenci angielskich wszechnic i "uchowani" na emigracji absolwenci polskich uczelni. Inaczej ma się jednak sprawa ze stanowiskami "przywódczymi" w życiu publicznym. Dla samorządowca, kierownika instytucji społecznej, ba — nawet dla ministra, dyplom i fachowość jest cenną, lecz nie jedyną kwalifikacją. Wyżej od nich postawiłbym kościec moralny, zaufanie środowiska, znajomość terenu i t.p. Oczywiście ideałem było by znalezienie jednostek, odznaczających się wszystkimi tymi walorami. Jednakże w naszych warunkach powojennych, gdy z jednej strony poziom moralny i pięcioletnie co najmniej oderwanie od terenu, z drugiej zaś straszliwe przetrzebienie szeregów starszej inteligencji i uniemożliwienie kształcenia młodzieży w kraju — nie pozwala na zbytni optymizm. Uważam, że raczej zrezygnować trzeba będzie z fachowości i dyplomu, uwzględniając przede wszystkim inne, wyżej wspomniane cechy.

Zdaję sobie z tego sprawę, że taki rozdział na fachowe stanowiska kierownicze i na stanowiska "przywódcze" nie zawsze będzie możliwy i że nie zawsze da on doskonałe rezultaty. Dzielny dowódca oddziału partyzanckiego, czy wzorowy kierownik placówki życia podziemnego, może się okazać dyletantem na stanowisku starosty, kierownika ubezpieczalni społecznej, czy prezesa izby rolniczej. Wydaje mi sie jednak, że wśród ludzi kraju znajdzie się po odpowiednim wyborze właściwszych kandydatów, niż wśród dyplomowanych emigrantów, których przygotowanie teoretyczne również nie zawsze uchroni od dyletanctwa.

Takie rozwiązanie sprawy zmniejszy również niezadowolenie z pozornej inwazji emigracji na posady publiczne i synekury. Wpłynie również na demokratyzację naszego życia przez odebranie pewnym warstwom monopolu na posady państwowe.

Zastrzeżenia moje nie zmierzają bynajmniej do podważenia apelu p. Karskiego o jak najpełniejsze wykorzystanie pobytu na emigracji dla pogłębienia wiedzy i samokształcenia. Jest to bezwzględnie nakazem sumienia obywatelskiego. Dla fachowców we wszystkich dziedzinach znajdą się w Polsce odpowiednie stanowiska, które jednak będą nie synekurą, lecz ciężką służbą dla państwa i społeczeństwa w ciężkich czasach, które nas po wojnie czekają.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze, żołnierskie pozdrowienia i słowa szacunku.

Karol Lewkowicz

Poradnik żołnierski

Chcemy najlepiej służyć żołnierzowi, przebywającemu w odległych /żeby nie powiedzieć: zapadłych/ nieraz garnizonach i trwającemu od tak długiego już czasu w wyczerpującym oczekiwaniu na . . . jakąkolwiek zmianę, na to, by wreszcie zaczęło się dziać coś, co by zmieniło to trwanie — na ruch, na czyn. Rozumiemy, że żołnierz ten, poza życiem wojskowym, ma wiele spraw, które go interesują, o których chciał by się czegoś dowiedzieć. Mogą to być sprawy rodzinne /a mamy przecież rodziny rozrzucone po wszystkich zakątkach świata/, mogą być sprawy osobiste, osobistych zainteresowań, na które poza zajęciami służbowymi tyle jeszcze można znaleźć czasu, mogą to być wreszcie sprawy, związane nawet ze służbą wojskową.

Dlatego też, po przezwyciężeniu trudności technicznych i innych, uruchomiamy na nowo dział "Poradnik Żołnierski," w którym będziemy się starali dać Kolegom odpowiedzi na wszystkie i wszelkie trapiące ich sprawy i kłopoty. Prosimy więc — piszcie do nas o wszystkim, co was trapi lub boli. Spodziewamy się, że w wielu wypadkach będziemy w stanie przyjść wam z pomocą lub udzielić właściwej informacji.

Dział ten — nie nowy na tych łamach — chcemy traktować teraz nieco szerzej, niż poprzednio. W życiu obozowym czy garnizonowym, poza służbą /a nawet w służbie/, tak często i tak wiele porusza się spraw o charakterze ogólnym, o kapitalnym nieraz znaczeniu — czy to dla codziennego życia wojskowego, czy nawet nie wojskowego. Rodzą się czasem w takiej atmosferze myśli pożyteczne i szkoda, żeby przemijały bez echa. Dobrze by więc było poruszać je przed szerszym forum, podać je do przemyślenia, bodaj nawet do zaopiniowania szerszej opinii żołnierskiej za pośrednictwem "Polski Walczącej." Na tej drodze wiele rzeczy można wytknąć, wiele pojęć uzgodnić. Wiele poglądów naprostować i nawet wiele złego naprawić.

Piszcie więc też do "Poradnika" o sprawach o charakterze ogólniejszym, które was interesują i które wydają się wam na tyle ważne, by nimi zainteresować innych.

Kandydat do Podchorążówki. Sprawa, o którą pan zapytuje jest dosyć delikatnej natury. Pisze pan, że był pan w Podchorążówce na Śr. Wschodzie i że Podchorążówkę tę rozwiązano, a jej elewów przywieziono do W. Brytanii Jeśli istotnie wysokie osobistości po przybyciu tutaj dawały panu i pańskim kolegom zapewnienia, że zostaniecie przyjęci na turnus Podchorążówki w W. Brytanii, i jeśli mimo zgłoszenia się nie został pan powołany do Podchorążówki, przeto radzimy panu stanąć do bezpośredniego swego przełożonego /n.p. do d-cy komp./ do raportu z wyjaśnieniem tej sprawy. Zapewne ostateczny wynik pańskich starań zależeć będzie od powodów, dla których zgłoszenie pańskie do Podchorążówki nie zostało teraz uwzględnione.

Dla uproszczenia całej sprawy dobrze by było, aby pan przy raporcie wręczył swemu dowódcy uprzednio już przygotowaną prośbę do Dowódcy Korpusu, albo nawet do Pana Ministra Obrony Narodowej — o przyjęcie pana na najbliższy turnus Podchorążówki. W prośbie tej należy krótko, ale szczegółowo podać, że . . . od dnia . . . do dnia . . . był pan w Podchorążówce na Śr. Wschodzie, że z dniem . . . Podchorążówka ta została rozwiązana, że po przybyciu do W. Brytanii w dniu . . . w miejscowości . . przy okazji . . . Pan X. Y. . . . .dał wam zapewnienie, że skończycie Podchorążówkę w W. Brytanii i że wreszcie zgłoszenie pańskie na organizowany obecnie nowy turnus nie zostało przyjęte. Z tych względów prosi pan o spowodowanie ponownego rozpatrzenia pańskiego zgłoszenia i o przyjęcie na najbliższy turnus Podchorążówki. Złożenie takiego podania niczym panu nie grozi. Żołnierzowi zawsze wolno prosić, byle by tylko zachował przepisaną drogę służbową i byle by podane szczegóły i okoliczności odpowiadały prawdzie. Ostateczny wynik starań — powtarzamy — zależeć może od powodów, dla których zgłoszenie ostatnie nie zostało uwzględnione.

Dla Polaków w Rosji: £10,815

The Editor, "Fighting Poland," London,

Dear Sir,

I enclose cheque for £66.5.0, being donation to the Women's and Children's Relief Fund from the Alyth (Perthshire) Group of the Scottish Polish Society.

I shall be glad if you will have it forwarded for the relief of Polish women and children.

Might I say that at this time last year we sent a similar sum. The money has been raised from a whist drive, from the sale of free gifts given by Mrs. Yeaman, Mrs. Gunia, and from a "perm" gifted by Mrs. Janiszewska. The whist drive was organised by Miss Wilkie, Mrs. Lindsay and Mrs. Lamond, with Miss Edwards and Miss Todd as Joint Secretaries and Treasurers.

Yours sincerely

John McIntosh

P.S. The sum of £5 has been forwarded to the Polish Prisoners of War Fund through the Secretary in Edinburgh.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dziesiejszym numerze £66.5.0 /słownie: sześćdziesiąt sześć funtów, pięć szyl./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,815.1.7 /słownie: dziesięć tysięcy osiemset piętnaście funtów, jeden szyling, siedem pensów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

MARYNARKA WOJENNA NA "POLISH CHILDREN RESCUE FUND"

Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej przekazują £200 /słownie dwieście funtów/ na Polish Children Rescue Fund.

* * *

With many thanks to Mr. H. W. Henderson /Glasgow/ for sending me 10 copies of the pamphlet "The Polish Conspiracy?" I am offering sh.10 for the "Relief Fund for Polish Children in Russia."

W. Siewruk

Sumę £200.10.0 /słownie: dwieście funtów, dziesięć szyl./ przesłaliśmy do Polish Children Rescue Fund.

RYSZARD ŻYGA ur. w r. 1923 w Przeworsku, zamieszkały do r. 1939 w Tarnopolu, poszukiwany jest przez swych rodziców. Wiadomości prosimy podać do Redakcji "Polski Walczącej."

Zbiórka książek

Do Redakcji "Polski Walczącej,"

Wysłałem 15 książek polskich na adres redakcji "Polski Walczącej" w celu przekazania dla naszych żołnierzy na Bl. Wschodzie.

Załączone: J. Pietrkiewicz: "Po chłopsku" /2 egz./, MacCallum: "Nauka angielskiego," W. Przyborowski: "Szwedzi w Warszawie," B. Prus: "Placówka," K. Wybranowski: "Dziedzictwo," T. Katelbach: "U kresu drugiego etapu," A. Fiedler: "Dywizjon 303," H. Sienkiewicz: "Potop," A. Mickiewicz: "Pan Tadeusz," B. Leitgeber: "Londyn, oblicze i maska," Z. Nowakowski: "Rubikon," O. Laskowski: "Jan III Sobieski" /2 egz./.

pchor. Walenty K.
oficer oświat. . . . Pułku Panc.

* * *

Dla Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie anonimowo: "The National Geographic Magazine."

* * *

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3569 książek.

Na "paczki od serca": £2,266

Wojskowa Czołówka Teatralna "Lwowska Fala" przesłała jako rezultat zbiórki w czasie pierwszych przedstawień nowego programu "Początek końca" w obozach Wojska Polskiego £98 /słownie: dziewięćdziesiąt osiem funtów/. Szczegółowe zestawienie ogłosimy później.

* * *

Ministerstwo Informacji i Dokumentacji przesyła w załączeniu P.O. na sumę £1.9.0 /jeden funt i dziewięć szylingów/ na Polaków w niewoli niemieckiej.

Suma ta została zebrana podczas odczytu p. Zajączkowskiej w Llandudno /Walia/.

Za Ministra
A. Wójcicki

P. JAN JANCZAK, który był w Rosji, proszony jest o podanie adresu do redakcji "Polski Walczącej." Osoby, które by mogły udzielić o nim jakichś informacji proszone są o zgłoszenie się.

Redakcja "Polski Walczącej," Londyn,

W załączeniu przesyłam przekaz pocztowy na kwotę £11 sh.7 d.5½.

Kwota powyższa powstała drogą urządzonej imprezy przez 1 i 2 P.A. Mot. z przeznaczeniem na paczki "od serca" dla jeńców wojennych w Niemczech.

Oficer Oświatowy
W.M.

* * *

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Dając skromny wyraz pamięci o imieninach mojej żony, w załączeniu przesyłam sh.10 na "paczki od serca" i

pozostaję z głębokim poważaniem

L.Z.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £111.6.5½ /słownie: sto jedenaście funtów, sześć szyl., pięć i pół pensa/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,266.0.11½ /słownie: dwa tysiące dwieście sześćdziesiąt sześć funtów i jedenaście i pół pensa/ 50 milrejsów brazylijskich i 2 dol. amerykańskie.

NA PACZKĘ DLA JEŃCA WYSŁANĄ PRZEZ P.C.K.

Redakcja "Polski Walczącej,"

Przesyłam P.O. na sh.4 d.11 na paczki dla jeńców wysyłane przez P.C.K.

Kwota stanowi przegraną w bridge'a nieprzyjęta przez partnerów w m.p. 1-go pułku panc.

Z.J.

KONKURS NA UTWÓR SCENICZNY

Związek Artystów Scen Polskich, Gniazdo Londyn, rozpisuje konkurs na utwór sceniczny, przeznaczony do wystawienia w jednym z czynnych obecnie teatrów polskich /wojskowe czołówki teatralne, teatry objazdowe i t.p./.

Konkurs jest otwarty dla wszystkich autorów polskich.

Temat, charakter i rozmiar utworu — dowolny.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 1-go czerwca 1944 r. /miarodajna jest data stempla pocztowego/.

Prace należy nadsyłać pod adresem Z.A.S.P.-u, Gniazdo Londyn, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

Każda nadesłana praca winna być podpisana godłem. Do każdej przesyłki należy dołączyć zamkniętą kopertę z imieniem, nazwiskiem i szczegółowym adresem autora. Na kopercie winno być powtórzone godło obrane przez stającego do konkursu.

Za najlepsze prace będą przyznane następujące nagrody pieniężne:

pierwsza nagroda Z.A.S.P.-u £50
druga nagroda Naczelnego Wodza £30
trzecia nagroda Min. W.R. i O.P. £25

Jury ma prawo nieprzyznania pierwszej nagrody, względnie podziału jej pomiędzy kilku autorów. Ponadto może wyróżnić pewną ilość prac.

Egzemplarze utworów nagrodzonych i wyróżnionych pozostają w archiwum Związku, co w żadnym stopniu nie ogranicza praw autorskich zastrzeżonych ustawą. Utwory nienagrodzone i niewyróżnione zostaną zwrócone na imienne żądanie autorów nie później, niż w dwa miesiące po ogłoszeniu wyniku konkursu.

W skład jury konkursu wchodzą: Wiktor Budzyński, Mila Kamińska, Maria Kuncewiczowa, Zygmunt Nowakowski, Mieczysław Pawlikowski, Tadeusz Szymonowicz, Tymon Terlecki.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

"ZATORY POD PSKOWEM"



PRZEMIANY

W związku z wytworzoną sytuacją przysłowie: "siedzieć jak na tureckim kazaniu" przestało być aktualne. Natomiast coraz częściej mówią w Ankarze: "siedzimy jak na alianckim kazaniu . . ."

NOWE PRZYSŁOWIE

. . . "wyszedł jak Badoglio na flocie . . ."

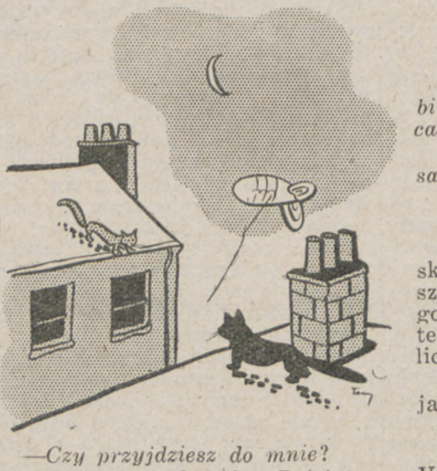
TRUDNY JĘZYK

—Wie pan, który naród najtrudniej pojmuje język angielski?

—???

—Turcy! Nie mogą w żaden sposób dogadać się z Anglikami . . .

MARZEC W LONDYNIE



—Czy przyjdziesz do mnie?

—Chyba po alarmie. Dzisiaj robię — "fire-watchera."

SZKOT W CZASIE NALOTU



—Czy pan zwariował? Co pan robi? Przecież to bomba zapalająca! . . .

—Właśnie chcę odpalić papierosa! . . .

NIE ZROZUMIAŁ

Do Londynu przybył na urlop polski żołnierz ze Szkocji. Szuka mieszkania. Odwiedził już domy noclegowe a nawet hotele. Wszędzie zajęte. O północy stoi zmartwiony na ulicy.

—Pan szuka mieszkania? — pyta jakaś Angielka.

—Tak!

—To proszę iść do "Women Voluntary Service."

—Dziękuję, ja już wolę zapłacić!

AUTENTYCZNE

W czasie ostatniego "Blitz'u" na Londyn, jeden z Polaków biegnie z kubłem wody w stronę palącego się domu.

—Dlaczego pan się tak denerwuje? — pytają "fire watchery."

—Na trzecim piętrze pali się!

—No to co?

—Pali się! Jeszcze można ugasić!

—Szkoda! Dom jest asekurowany — odpowiada właściciel kamienicy.

SKĄD SIĘ WZIĄŁ W POLSCE "GEN." ROLA?

—Ani z roli, ani z soli,
tylko z tego co nas boli! . . .

W HYDE PARKU



—Jego to pan nie widzi, tylko mnie! . . .

POD WRAŻENIEM NALOTÓW



—Czy uspokoisz się duszko? Bo jeśli nie, to cię zbombarduję . . .

POŻYTECZNA OSZCZĘDNOŚĆ

W barze dworcowym w Edynburgu, Polak zwraca się do barmanki:

—Sorry, dlaczego tu są tak małe porcje whisky?

—Ażeby nikt się nie spóźnił do pociągu . . .

PIERWSZE ZDOBYCZE Z WŁOCH

—Czy pan uwierzy, że Anglicy po zdobyciu Sycylii i południowych Włoch są bardzo skwaszeni?

—Dlaczego?

—Cała Anglia jest obecnie zasypana cytrynami . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

White Eagle Club organizuje w piątek, dn. 10-go marca r.b. wieczór autorski JANUSZA LASKOWSKIEGO, który w najbliższych dniach uda się na front włoski, jako korespondent Kwatery Prasowej Polskich Sił Zbrojnych i korespondent "Polski Walczącej"

Wieczór zagai: Antoni Bogusławski.

Początek o godzinie 18,30 /6,30/ Wstęp wolny. Dobrowolne datki przeznaczone na Fundusz Pomocy Jeńcom.

P. TADEUSZ PRUS BUGAYSKI, ANTONI ODROWĄŻ oraz p. IGNACY FALKOWSKI proszeni są o podanie aktualnych adresów do redakcji "Polski Walczącej."

SPIS RZECZY:

Stefan Gazeł: Tygodnie, miesiące, lata . . . — *Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — *Julian Ginsbert:* Wojna na morzu. — *Maria Brzeska:* Polska — żywymi oczami. Matka i dziecko. — *Ludwik Bojczuk:* Rozmówki z aliantami. — *Jerzy Głębocki:* Nad wielką wodą /II/. — Żołnierze polscy we Włoszech /*Jerzy Jachimowicz:* Na komandosowskim szlaku. *Ryszard Mossin:* We włoskim porcie/. — *Wiktor Budzyński* :Bez blackoutu. — Poszukiwani. — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — Dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Na "paczki od serca." — *Tony:* Werinajsek. — Fotografie.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zareserwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.